N: 21 — 25-V-1929.

ŚWIAT



Zielone Świątki na Bielanach.

Fot. Jan Ru

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXIV **ŚWIAT** - NR - - 21 -

WARSZAWA, DNIA 25-go MAJA 1929 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO



DRAMAT NA KRESACH

Szczęśliwe losy wojny przywróciły nam część kraju, który był niegdyś terenem naszej wielkomocarstwowej ekspanzji na Wschód i na Północ, który od zarania dziejów przeorały dalekie szlaki wojny — kraju, gdzieśmy byli przedmurzem kultury zachodniej i gdzieśmy nigdy nie umieli utrwalić należycie zdobyczy zwycięskiego oręża. Tu w czasach wolności rozkrzewiły się tylko polska fantazja i polski sentyment tak bujnie, że przez sto lat zgórą mogły wytrzymać napór obcy i wrogi, zachowując pod skorupą pozornego milczenia odrębność żywą i gorącą, jak lawa podziemnego wulkanu. Każdy dwór na Kresach był wówczas bastjonem, broniącym się siłą swoistej obyczajowości i poczuciem jedności całego narodowego organizmu. Kiedy serce Polski uderzało wzmożonem tętnem w Warszawie, Krakowie, Lwowie i Poznaniu, Kresy wchłaniały w siebie chciwie ożywcze fale ciepłej krwi, które spływały stamtąd.

Nie wszystko jednak dochodziło tutaj.

Zagadnienia socjalne, które skomplikowały i pogłębiły ruch niepodległościowy, docierały na krańce Polski tylko dalekiem echem. Waśnie narodowościowe tutaj prawie nie istniały. Białoruś pogrążona była jeszcze w głębokim śnie, Litwa ograniczała się do garstki nieszkodliwych marzycieli, a Czerwona Ruś spiskowała przeciwko Rosji.

Życie nabrzmiewało od spokojnego dosytu!

Ludzie, którym to nie wystarczało, szukali świetnej karjery na petersburskich salonach, albo gnili w lochach warszawskiej cytadeli.

Po roku 63-im nie było tutaj ani ugody na szeroką skalę, ani spisków, ani groźnego ruszczenia się, ani bezwzględnej i zdecydowanej walki z caratem. Istniał tylko nieprzełamany odpór samej bujności życia, tak silnej i pełnej fantazji, że zginał się przed nią pokornie kark carskiego urzędnika. Było to życie tak barwne i bogate, jak delja magnacka, spięta brylantowemi guzami.

Nowoczesna walka o byt ze wszystkiemi załamaniami i głębinami nie dręczyła tutaj nikogo. Chleba nie brakowało. Pomiędzy dworem i wsią istniały stosunki patryjarchalne. Praca na roli podobna była nieraz do jakichś radosnych obrządków, połączonych ze śpiewem, zabawą i poczęstunkiem. Fortuny szlacheckie i fortuny magnackie posiadały niewyczerpane źródła bogactwa w olbrzymich przestrzeniach ziemi i lasach nietkniętych jeszcze ręką ludzką. Kultura rolnicza nie docierała tutaj, albowiem na cały splendor życia wystarczał najbardziej prymitywny sposób gospodarowania.

Ktokolwiek widział kresy w czasach przedwojennych, ten nie mógł się oprzeć ich dziwnemu urokowi. Prymitywność, płynąca od przyrody i ludzi niemal egzotycznych, łączyła się w jedną osobliwą całość ze starą kulturą pałacu i dworu. Wśród głuchych pustkowi, nieprzebytych moczarów i niedostępnych lasów, wśród zadumanych jezior i rzek rozlewających szeroko, wśród

wiosek nędznych i samotnych futorów wyrastały dumne pałace, stare dwory i te najświetniejsze stolice państw udzielnych, rządzących się własnem prawem, przestrzegających własnego ceremonjału. Widziało się tutaj przepych zdumiewający, sztukę i okazałość tradycji na usługach jednego rodu. Uwijały się olbrzymie zastępy służby w pańskich barwach, u żłobów rżały setki wierzchowców i koni cugowych, w psiarniach ujadały niezliczone sfory ogarów, a w zwierzyńcach, urządzonych wielkim sumptem na olbrzymich przestrzeniach lasu, hodowano najdziwniejsze okazy fauny. W puszczach zaś żył swobodnie żubr, niedźwiedź, łoś, ryś, żbik, wilk i głuszec. Polowania par force, wielkie obławy i wiosenne misterja ściągały tutaj najznakomitszych myśliwych z całego świata. Malarstwo współczesne zachowało do dziś dnia niby bajkę cudowną wspaniałość tego życia, które błyszczało jak klejnot okazały w melancholijnej oprawie przyrody dzikiej i surowej.

Ta sama pełnia dosytu, pozbawiona tylko zbytecznej pompy i sztucznego ceremonjału, ukrywała się w każdem średnio zamożnem osiedlu. Cały wdzięk i cała wartość szlacheckiego życia, jego swoboda, patryjarchalność i niewymuszona cnota zastygły na długo w dworkach kresowych. Kiedy w centralnej Polsce istnienie ziemianina nabiera cech zdecydowanej walki o byt, kiedy nastaje ścisła, ze wszelkich sentymentów odarta kalkulacja wytwórczości gospodarczej, na dalekich krańcach toczy się ciągle niefrasobliwy żywot poczciwego człowieka wśród zbożnej czeladki i sercu miłych gości. Szczypta dziwactwa i oryginalności dodawała tylko tej sielance swoistego uroku.

Tak oto przedstawia się w najogólniejszych zarysach obraz życia na przedwojennych kresach, życia, które zniknęło i które prawdopodobnie już nigdy nie wróci. Wojna pożarła ten słodki owoc od pierwszego rozpędu i zmieniła zasadniczo postać całego kraju. Straszliwe zniszczenie zadało cios śmiertelny dobrobytowi Kresów. Zaledwie kilka fortun magnackich zdołało utrzymać cień dawnego splendoru, inne rozpadły się zupełnie albo stały się żerowiskiem najrozmaitszych aferzystów. Pałace i dwory zostały zrujnowane albo spalone, wszelaki dobytek zagarnęli żołnierze i chłopi. Ziemię uprawną poorano okopami i wyjałowiono. Bogactwo leśne, które było podstawą powszechnego dobrobytu, zniknęło bez śladu. Brak odpowiednich arteryj komunikacyjnych zmusił armje walczące do zbudowania olbrzymiej sieci dróg polowych, co rozpoczęło pierwszą bezlitosną trzebież lasów. Potem Niemcy wysyłali do siebie całe pociągi starodrzewu, a reszty dokonali chłopi i żarłoczna, żadnem jeszcze ograniczeniem nie powstrzymana powojenna spekulacja. Miejsce olbrzymich borów zajęły niezmierzone wycięciska i pustacie, nędzne łąki, zarośnięte rzadką brzeziną, moczary z karłowatą sosną i piaszczyste, wymarłe wrzosowiska. Z pod bujnego, zielonego płaszcza lasu wyjrzało nieurodzajne łono lichej ziemi i wszystkie z tem związane klęski.

Gospodarstwo, które rozpoczęto w takich warunkach, było jeno żałosną wegetacją, pozbawioną jakiejkolwiek nadziei na lepszą przyszłość. Rozpoczęła się wówczas bezładna i gorączkowa parcelacja, która oddała znaczne obszary ziemi w ręce chłopskie. Było to jakoby złudzenie ratunku dla polskiego stanu posiadania na kresach.

Ostrze ciosu, który zadała mu wojna, było podwójne. Pozbawiła go nietylko dobrobytu, ale narzuciła z niepohamowaną siłą zupełnie nowe, nieznane tutaj zagadnienia. Wojna, jak rzeka spieniona, zerwała natychmiast ów wał ochronny, którym Kresy odgrodziły się od współczesnego życia, za którym rozkwitała ich niefrasobliwa sielanka. Z jakąś niesłychaną drapieżnością rzuciły się na ten kraj wynędzniały, wstrząśnięty i wyczerpany wszystkie upiory najostrzejszych zatargów socjalnych, ekonomicznych i narodowościowych.

Przedewszystkiem chłop pokorny, lękliwy i dobroduszny przeobraził się w dzikiego zwierza, który zerwał się z łańcucha przy pierwszym blasku łuny pożarnej. Cofał się jeszcze, kiedy go powstrzymywano autorytetem siły moralnej, ale już krążył w ciemnościach dokoła i czekał na rozgrzeszającą sposobność. Niebawem wojna nauczyła go jawnego rabunku. Pewnej nocy wtargnął z siekierą w ręku do pańskiego domu, który był dla niego czemś nietykalnem. I od tej chwili zaszczepia się w jego pierwotnej duszy nieustanne marzenie o „peremenie", wszystko jedno jakiej, wszystko jedno po co i przez kogo wywołanej, byleby tylko można było jeszcze raz grabić i porywać. Inwazja bolszewicka rozpętała w nim wszystkie najbardziej zuchwałe i nikczemne instynkty. Poznał przytem, że w czasach niepokoju może być panem sytuacji — on sam, a nie kto inny może rozstrzygać o losie tych, których zwykł szanować i lękać się. Znika bez śladu patryjarchalne współżycie i utwierdza się nieznany dotychczas antagonizm pomiędzy dworem a wsią, antagonizm, który podsyca zarówno agitator bolszewicki, jak i pewnego gatunku radykalizm krajowy.

Sielanka naprawdę się skończyła.

Nawet w najbardziej zapadłych wioskach poleskich, gdzie jeszcze chaty oświetlają łuczywem, gdzie roztopy wód odcinają osiedla ludzkie na całe miesiące od świata, nawet tam spotyka się ślady agitacji zajadłej, nieprzebierającej w środkach i biorącej dusze chłopskie w niewolę demagogicznem hasłem dzielenia ziemi.

W tych warunkach nad wyraz ciężkich i skomplikowanych polska inteligencja kresowa zachwiała się i okazała wyraźną dążność do rezygnacji.

NOWY WICE-KRÓL INDJI



Lord Irwin, nowomianowany wice-król Indji, wygłosił w parlamencie w Lahore przemówienie programowe. Była to odpowiedź angielska na zamach bombowy w dniu otwarcia parlamentu. Anglicy zamierzają w Indjach prowadzić teraz politykę silnej ręki. Ruch hinduski został przez zarządzenia nowego wice-króla zahamowany. Czy nadługo?

Stan posiadania polskiego na Białorusi, na Pińszczyźnie, na Polesiu i na Wołyniu zaczyna się zmniejszać z zatrważającą szybkością i zaczyna zatracać do pewnego stopnia tę siłę odporną, którą wykazał w czasach ucisku i niewoli. Są już dzisiaj całe połacie ziemi na Kresach, gdzie się nie spotyka polskiego domu i gdzie nas jedynie reprezentują polskie napisy, — czasami przechodzący policjant albo przejeżdżający urzędnik.

Emigracja żywiołu polskiego z kresów wzrasta i rozszerza się w najbardziej niebezpieczny sposób.

Zapewne nie wszyscy opuścili, zniechęceni, swoje posterunki. W przerzedzonych szeregach zostali najbardziej odporni, przejawiający wyraźną dążność przystosowania się do nowych warunków i pokonania wszelkich trudności. Istnieje jeszcze na kresach jedna, niewątpliwa i niezmienna wartość, która przetrwała wojnę i czasy powojenne, której nie zdołała pokonać nowoczesność. Jest to głębokie i szczere przywiązanie do swojej ziemi. Nie dopatrujmy się w tem bynajmniej łzawego sentymentalizmu — jest to coś stokroć bardziej pięknego: uczucie niemal fizjologiczne, przejaw najbardziej realny, jakby zaczerpnięty z łona samej przyrody. Są to organizacje psychiczne podobne drzewom i kwiatom, które mogą żyć tylko na właściwej sobie glebie, a które przeniesione pod obce słońce i pod obce niebo, nie znajdują dokoła siebie soków żywotnych. Są to ludzie, którzy wśród jednostajności otoczenia, wśród trudów i przeciwności żyją z uśmiechem na ustach, — których świat daleki może kusić, nawet oczarować, ale nigdy wchłonąć na zawsze.

Nie należy jednak pokładać zbyt wielkich nadziei w tym szlachetnym sentymencie, który na całe skomplikowane zagadnienie kresowe nie może wywierać takiego wpływu, jakiby wywierać pragnął.

Jest to co najwyżej zdolność wegetatywna, umiejętność przetrwania niedoli, ale nie pokonania jej przez energję i twórczość zdobywania.

Człowiek kresowy, obciążony psychiką osobliwego bezwładu, nieprzygotowany ani fachowo ani moralnie do trudności i zadań nowego życia, nie może być dzisiaj zupełną podstawą dla naszej ekspansji na kresach.

Ta ekspansja zresztą wcale nie istnieje.

Kresy zostały zorganizowane administracyjnie. Puszczono w ruch maszynę, której kółka obracają się dość sprawnie i równomiernie, ale to przecież nie ma nic wspólnego z jakimś ściśle określonym planem gospodarczym i planem politycznym. Wszystko, co dotychczas w tej dziedzinie uczyniono, okazało się doświadczeniem przelotnem i zupełnie nieudanem.

Te olbrzymie obszary niewyzyskane i surowe w swojej pierwotności domagają się jakiejś akcji mądrej i celowej — akcji, do której należałoby pociągnąć całe społeczeństwo polskie — skierować właśnie tutaj wszystko, co jest przedsiębiorczego, żądnego pracy i zysku, albowiem Kresy są tą egzotyczną Polską, temi naszemi jakby naturalnemi kolonjami, których nie wolno nam dłużej zostawiać na łup bezmyślnego chaosu.

Jeśli bowiem pozostawimy je opuszczone i bezradne, stać się mogą dla nas ciężarem niebezpiecznym... poprostu tragicznym...

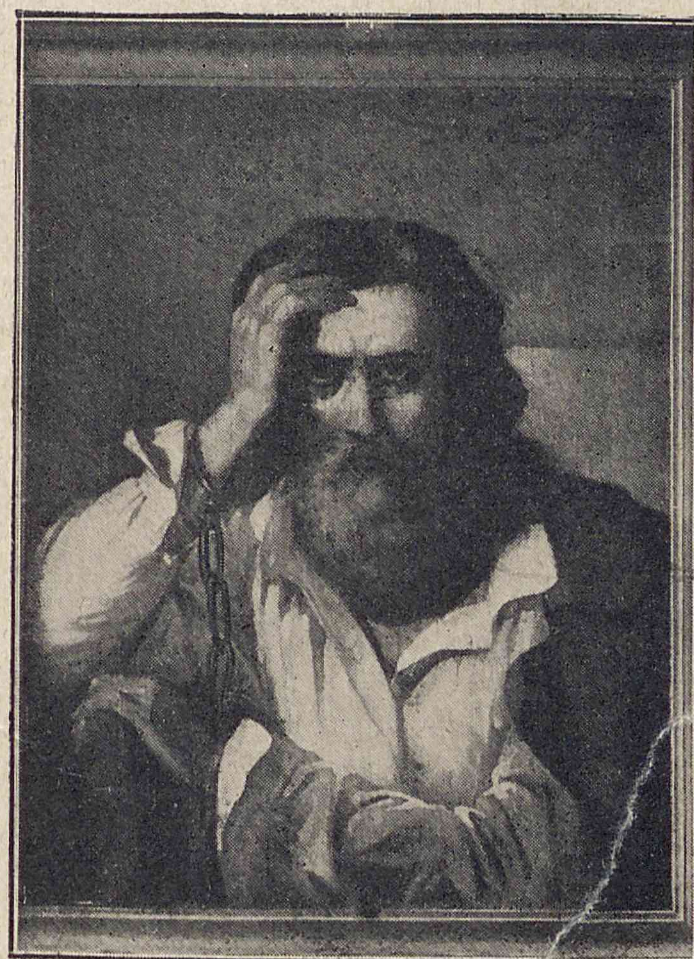
Stanisław Dzikowski

UROCZYSTOŚCI KU CZCI JOANNY d'ARC W ORLEANIE



PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ FRANCUSKIEJ G. DOUMERGUE W PRZYJACIELSKIEJ POGAWĘDCE Z KARDYNAŁEM-LEGATEM PAPIESKIM: PRASA FRANCUSKA UWAŻA, IŻ UROCZYSTOŚCI KU CZCI JOANNY ZBLIŻYŁY ZNÓW PARYŻ KU STOLICY APOSTOLSKIEJ

200-LECIE REFORMATORA SZKOLNICTWA POLSKIEGO W WILNIE



SZYMON KONARSKI
ZE ZBIORÓW RAPPERSWILSKICH. WŁASNOŚĆ: MUZEUM WOJSKA
Fot. Jan Ryś

KOZAKIEWICZ NIESPODZIEWANI



W. WYSPIAŃSKI PARYŻANKA



W. BAKAŁOWICZ W KRYNICY



J. Kossak — Polowanie na niedźwiedzia



Jan Matejko — Portret męski

J. Brandt — Dojeżdżacz z chartami

WYSTAWA STU LAT MALARSTWA POLSKIEGO

Wśród wszystkich wystaw, jakie Kraków widział w ostatnich pięćdziesięciu latach, niewątpliwie najciekawszą jest wystawa „Stu lat malarstwa polskiego 1800—1900", jaką obecnie oglądamy w Pałacu Sztuki. Ściśle biorąc, takiej wystawy w Krakowie dotąd nie było. Urządzano w różnych latach wystawy, dające obraz rozwoju sztuki w dawnych wiekach. Składały się na nie zarówno obrazy, jak przemysł artystyczny. Bywały różne wystawy, urządzane przez niestrudzonego działacza na tem polu, ś. p. profesora J. Mycielskiego. Były to przeglądy pewnych epok malarstwa, jednak zakrojone na drobne rozmiary, mieszczące się w jednej małej salce, a liczące najwyżej po trzydzieści kilka eksponatów. Jedyną wielką wystawę malarstwa w Polsce urządzono w r. 1894 we Lwowie z okazji ówczesnej Powszechnej wystawy Krajowej. Objęła ona wtedy ogromny okres czasu od 1764 r. do 1886 r., gromadząc półtora tysiąca eksponatów, do których należało 422 obrazów olejnych, 219 akwarel i pasteli, 590 rysunków, 179 sztychów i 21 rzeźb dodatkowo. Dla pomieszczenia tak olbrzymiej ekspozycji wybudowano wielki gmach, największy, jakim do dziś cała Polska rozporządzała w celu urządzania wystaw sztuki. Organizatorem tego wyjątkowego przeglądu sztuk plastycznych, jaki kiedykolwiek urządzono w Polsce — był niezapomnianej pamięci prof. Jan Bołoz - Antoniewicz, autor znakomitego katalogu tejże wystawy.

Przypuszczać można było, że obecnie znowu będziemy mieli sposobność oglądania podobnie wspaniałej wystawy, urządzonej w Poznaniu na wielkiej Powszechnej Wystawie Krajowej. Jeżeli gdzie, to właśnie tam było miejsce, no i okazja do urządzenia takiego pokazu. O ile wiem, chciano urządzić taką wystawę. Tylko, jak to zwykle w naszych warunkach, zaczęto się kłócić o to, co ma być urządzone i jak, — no i skończyło się na pięknych zamiarach. Dopiero w ostatnim czasie na nowo sprawa wystawy sztuki znalazła się na porządku dziennym. Kierownictwo Wystawy Powszechnej — rozumiejąc dobrze, jak wielka siła atrakcji tkwi w takim przeglądzie sztuk plastycznych — postanowiło ją bezwzględnie urządzić.

A w Krakowie?

Bez krzyku i hałasu, bez szumnych zapowiedzi i prawie bez żadnych funduszów zabrano się do pracy i... w przeciągu zaledwie



A. Orłowski. Studjum rysunkowe

trzech miesięcy zebrano olbrzymią — jak na nasze stosunki — wystawę. Liczy bowiem ona około trzysta pięćdziesiąt eksponatów w obrazach olejnych, z minimalnym dodatkiem akwarel. Komitet urządzający wystawę musiał się ograniczyć tylko do eksponatów olejnych, gdyż na inne nie było zupełnie miejsca. Musiano zrezygnować z wystawienia rysunków, sztychów, pasteli i t. d. Zresztą co tu mówić o tych działach, gdy dział malarstwa olejnego musiano ograniczyć z powodu braku miejsca. Gdyby nie ta fatalna przeszkoda, możnaby urządzić znacznie większy pokaz. Ale i tak, to, co zgromadzono, będzie wspaniałą manifestacją sztuki. „Sto lat malarstwa polskiego" wskrzesza przed nami twórczość artystyczną dawnych epok. Przedstawiono twórczość przeszło stu nieżyjących malarzy; po dziesiątkach lat zapomnienia, to rodzaj wielkiego, artystycznego turnieju, jakiego dotąd te stare mury Krakowa nie oglądały.

A przytem wszystkiem, najważniejszą cechą wystawy jest to, że składają się na nią wyłącznie eksponaty z prywatnego posiadania. Niema tu ani jednego płótna, wziętego z muzeów czy galeryj publicznych. Jeszcze ciekawszem jest to, że cała ta wystawa została zebraną prawie wyłącznie w Krakowie i jest obrazem prywatnego stanu posiadania sztuk plastycznych Krakowa. W tem właśnie leży najdonioślejsze znaczenie wystawy „Stu lat", że ona jest miarą artystycznych umiłowań mieszkańców tego miasta. Wystawie tej możnaby dać równie dobrze inny tytuł: jak Kraków kocha sztukę? Przekonany bowiem jestem, że w żadnem z miast polskich poza Warszawą nie możnaby zgromadzić takiej wystawy, ograniczając się wyłącznie na stanie prywatnego posiadania danego miasta. Dobrze jest to podkreślić i przypomnieć, czem jest Kraków, jako główne środowisko kultury artystycznej i duchowej całego kraju.

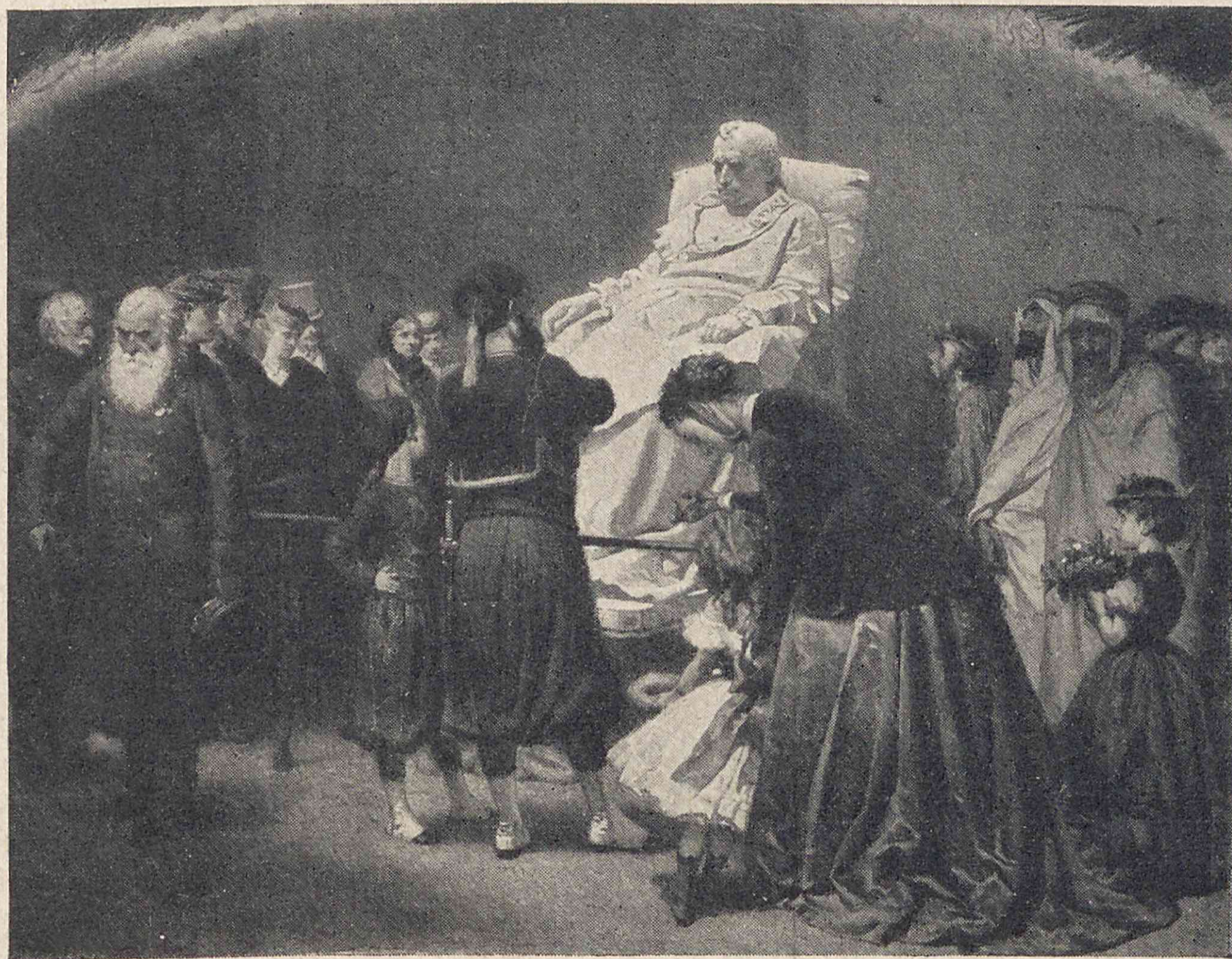
Jak się przedstawia wystawa? Otóż biorą w niej udział wszystkie wielkie nazwiska sztuki polskiej XIX wieku, znane i cenione szeroko poza granicą. Jak już wspomniałem, składają się na nią dzieła przeszło stu nieżyjących artystów, a wśród nich widzimy Ajdukiewicza Tad. z siedmioma obrazami, Bakałowicza z dwoma, Brandta z pięcioma, Chełmońskiego z ośmioma, Gersona z trzema, obu Gierymskich z sześcioma, Głowackiego J. N. z sześcioma, A. Grabowskiego z pięcioma, Grottgera z dziewięcioma, Gryglewskiego z czterema, Kaplińskiego z trzema, W. Koniuszkę z sześcioma, Jul. Kossaka z dwudziestoma, Kotsisa z szesnastu pracami. A. Wierusza-Kowalskiego z trzema, H. Lipińskiego z sześcioma, Matejkę z dwu-

dziestoma, Michałowskiego z dwudziestoma, Orłowskiego z dwudziestoma, Rodakowskiego z siedmioma, Siemiradzkiego z czterema, a dalej całą długą falangę nazwisk, dziś już szerszemu ogółowi nieznanych.

Aby urządzić tę wystawę, trzeba było przejść przeszło sto prywatnych mieszkań i wyszukać z ukrycia świetne płótna, wiszące nieraz na tem samem miejscu zgórą pół wieku. Są na tej wystawie dzieła, które z pracowni malarza wędrowały prosto do prywatnego mieszkania, niedostępne dla oka profanów, np. wspaniałe obrazy, użyczone na wystawę przez hr. Andrzejową Potocką, a wśród nich Kossaka największa praca: przepiękna „Kalwakata" przed pałacem w Krzeszowicach. Możnaby o tem dużo jeszcze powiedzieć i napisać, ale dla braku miejsca trzeba odłożyć na później. Miłą pamiątką wystawy jest piękny katalog rozumowany z 40 ilustracjami wystawionych dzieł sztuki. Aby umożliwić jego wydanie, prezydent inż. Rolle przyrzekł udzielić subwencję w sumie 2000 zł.

Franciszek Klein

Kraków.



GROTTGER — POSĄG NAPOLEONA W PARYŻU

Nasz dodatek książkowy:

Nowy tom bibljoteki egzotyczno-podróżniczej

Autem i arabą przez Anatolję

Prenumeratorzy nasi wraz z bieżącym zeszytem otrzymają nowy tom bibljoteki egzotyczno-podróżniczej pt. „Autem i arabą" prof. dr. Jana Rostafińskiego. Nazwisko to jest poważane i cenione nietylko w Polsce. Zrosło się ono z chlubą naszej wszechnicy jagiellońskiej. Dr. Jan Rostafiński jest synem profesora krakowskiego. Wychowany w środowisku przedniej kultury europejskiej, jako specjalność posiada duży teren przyrodoznawstwa, hodowlę. W dziedzinie tej znany jest w kraju i zagranicą już chociażby przez liczne publikacje naukowe. Specjaliści z pietyzmem czytają i komentują jego rozprawy, jak „Porównawcze badania nad przemianą materji u przeżuwaczy", „Mocznik w roli zastępczej białka", „Podręcznik hodowli owiec"... Autor ten opublikował po angielsku „Live stock breding in Poland", po niemiecku „Die Tierzucht Ungarns".



JAN ROSTAFIŃSKI

Wybitny ten uczony jest obecnie profesorem warsz. uniwersytetu, wykłada też w szkole głównej gospodarstwa wiejskiego. Liczne zajęcia nie gaszą w nim jednak zainteresowań szerszych, głębszych, zdążających do poznawania dalekich lądów i mórz. Już od lat młodzieńczych pasji tej zawdzięcza, iż poznał Marokko, Atlas, Saharę, Egipt, Maderę, półwysep Iberyjski, Francję, Włochy, Finlandję. Przez Laponję dotarł statkiem wielorybniczym za koło podbiegunowe.

W bibljotece naszej dał wrażenia z podróży swojej wgłąb Azji Mniejszej. Przebył trzy tysiące kilometrów, jadąc częściej na arabie, niż w aucie, zbierając mnóstwo ciekawych wrażeń, spostrzeżeń, przeżyć. Anatolja, jako kraj, znajdowała się ongiś na szlaku podbojów starej rzymskiej kultury. Ślady przypływu i odpływu, krzyżowania się różnych wpływów cywilizacyjnych muszą zastanowić, zaciekawić każdego inteligentnego człowieka. Prof. dr. Jan Rostafiński, jako narrator, podbija też uwagę wdziękiem, płynnością i barwnością opowieści. Jest to niewątpliwy wpływ tego środowiska krakowskiego, w którem się wychował i którego duch promieniuje do dziś na całą Polskę.

Prenumeratorzy nasi książkę prof. dr. Jana Rostafińskiego napewno przyjmą z zadowoleniem.

Międzynarodowa Wystawa Karykatur

Tow. Sztuk Pięknych w Louisville, głównem mieście stanu Kentucky w Ameryce Półn., urządziło od dnia 10 do 24 marca b. r. międzynarodową wystawę karykatur.

Do apelu stanęło 16 państw i 116 artystów. Prac wystawiono 524.

Z polskich karykaturzystów wystąpili wyłącznie współpracownicy pisma „Mucha", pp. R. Anderson, E. Dargiewicz, W. Lipiński i E. Porządkowski, łącznie z 21 pracami, przyczem spotkało nasz kraj miłe wyróżnienie: oto w katalogu wystawy zamieszczono 11 odbitek najlepszych karykatur. Odbitki te obejmują tylko 5 państw (z 16, które wzięły udział na wystawie), a wśród nich znajdujemy i Polskę, którą reprezentuje doskonała karykatura z „Muchy" p. E. Porządkowskiego. Zamieszczamy ją poniżej, z podpisem, jakim była opatrzona na wystawie.

ZWYCIĘSTWO NA SCENIE

IV.

Wiemy już wszyscy, co potrzeba posiadać, aby napisać komedję: papier, atrament, stalówki, czas i odrobinę duszy. Nic trudnego. Wiemy również, co się dzieje z taką sztuką, gdy rozdzielona na role, niby pomarańcza na cząsteczki, staje się konsumacją aktorów na próbie czytanej. Ale od próby czytanej do próby generalnej upływa jeszcze cały miesiąc, który wypełniają próby sytuacyjne. Są to próby, podczas których reżyser stara się wymyśleć taki plastyczny związek między osobami sztuki, aby każdy siedzący na widowni nie mógł przypuścić, że to aktorzy od tak sobie, od niechcenia przystanęli, albo usiedli, aby z sobą pogadać, ale natomiast, żeby był zupełnie pewny, że osoby komedji właśnie tak sobie przystanęły albo usiadły, żeby sobie pogadać. Na razie brzmi to, jak paradoks, w rzeczywistości jednak, właśnie o to najbardziej chodzi każdemu reżyserowi, gdyż na scenie podczas grania sztuki nie powinno być aktorów, tylko osoby komedji. Im mniej będzie aktorów, tem sztuka jest lepiej grana, bo jest w niej więcej prawdziwych ludzi, a mniej udanych, czyli, że genjusz aktorski polega na tem, że aktor w chwili wejścia na scenę zostawia swą duszę w garderobie, zamieniając ją na duszę osoby komedji, jakgdyby był naczyniem, które niewidzialna ręka napełnia raz znakomitym burgundem, innym razem pieniącym szampanem, to znów zgoła podłym cienkuszem, lub zwykłą wodą, jeżeli nie wymyślonym przez szatana na utrapienie ludzkości atramentem. Oczywiście, żeby komedja grana była we właściwym sensie, potrzeba, aby reżyser ten sens widział, a przynajmniej szukał go, co nie należy do rzeczy łatwych, albowiem reżyser także jest człowiekiem, a każdy człowiek dzisiaj i to nie tylko w Polsce zżarty jest przez sceptycyzm, jak stara salopa przez mole. Zdarzają się jednak sztuki, które mają sens i dla reżysera i dla aktorów i wtedy próby odbywają się w atmosferze miodowego miesiąca. Wogóle myliłby się kto, przypuszczając, że próby istnieją tylko po to, aby wypróbować sztukę tak, aby publiczność siedząca na premjerze miała prawo przypuszczać, że sufler w organiźmie teatru jest takim samym mniejwięcej zabytkiem szczątkowym, jak w organiźmie ludzkim ślepa kiszka, albo kość ogonowa.

Próby polegają na tem, że się wszyscy wzajemnie próbują, a w pierwszym rzędzie aktorzy próbują świętej cierpliwości reżysera, reżyser zaś próbuje wytrzymałości swego głosu i odporności wątroby, która już po kilku próbach gwałtem chce zostać minerałem i przejść do historji teatru jako największy kamień wątrobiany. Rzecz naturalna, że teatr nie zostaje pominięty w tych pożytecznych doświadczeniach. Aktorzy bowiem próbują z niego zrobić warjata, podczas gdy on ze swej strony próbuje znów wytłumaczyć pięknej i młodej aktorce, że stawianie nóg do środka nie należy do najwybitniejszych wdzięków kobiecych. Wreszcie sam Zeus, Jowisz, Jehowa, bo ja wiem, kto jeszcze taki, słowem, sam dyrektor, próbuje wmówić w autora i w aktorów, że sztuka już idzie znakomicie i że za tydzień nieodwołalnie musi być premjera. Słowem, są to próby wszystkich ze wszystkimi. Z tych to właśnie dziwacznych pomruków i bełkotów, śmieszków i dowcipów wyłania się komedja, niby Syrena z piany morskiej, wabiąca czarującym śpiewem błądzących marynarzy, którzy im bardziej się do niej zbliżają, tem bardziej śpiew jej staje się słodszy i milszy. Wreszcie przychodzi to, co się nazywa próbą generalną, a co jest takiem sobie przedstawieniem bez publiczności, kiedy autor ma już przedsmak jutrzejszej premjery i często nie może się uspokoić z żalu, że się urodził na tym świecie, a nie na Marsie, naprzykład, gdzie lud jest wielce wojowniczy, i zamiast chodzić do teatru, puszcza na siebie trujące gazy i epruwetki z bakterjami. W przeddzień premjery, kiedy główny bohater nie umie roli w ząb, każdemu autorowi na świecie wojna bakterjologiczna wydaje się majówką. Pociesza się tylko tem, że, według zdania doświadczonych w tym względzie weteranów sceny, im gorzej idzie generalna próba, tem większy będzie sukces na premjerze. Broń Boże, aby wszyscy umieli role ekspedite, jest to bowiem niezaprzeczony dowód, że sztuka jest przeuczona, a to grozi fenomenalną klapą. Natomiast nic nie przeszkadza, jeżeli zakochany amant, zamiast powiedzieć do czarującego polotka, dla którego umiera z miłości przez całe trzy godziny: „Nie zapomnę róży, którą mi dałaś", powie do starej ciotki: „Nie zapomnisz o róży, którą miałaś". Każdy w tej chwili przygląda się kobiecinie, chcąc wiedzieć, gdzie miała tę różę, ale akcja biegnie swoim torem, więc każdy myśli, że się to później wyjaśni i słucha dalej. Bywa bowiem i tak! Chociaż nie w Warszawie! Żeby posłuchać takich cudów, trzeba pojechać na prowincję! Kto ma jakiegoś sparaliżowanego dziadka w rodzinie, niech go weźmie na takie przedstawienie, a zaręczam, że ucieknie w środku pierwszego aktu o własnych siłach, nie zdążywszy nawet podziękować dyrektorowi teatru za cudowne uleczenie. Faktem jest jednak, że na generalnej próbie wszyscy liczą na to, że ich na premjerze poniosą nerwy, bo nerwy — to tempo, a tempo czyni każdą sztukę krótszą o piętnaście minut, co daje znakomity awans przy zajmowaniu stolików u Langnera, czyli że uspasabia życzliwie do autora i artystów, wymagających krytyków. Nawet super - krytyk, ojciec i ojczym najlepszych dowcipów mówionych na premjerze i po premjerze, Kornel Makuszyński, nie lubi, gdy mu na scenie o godzinie wpół do dwunastej zasiadają do obiadu. Wie, że będą gadali jeszcze z pół godziny conajmniej, a tam kucharze się niecierpliwią, a który na którego spojrzy, to w ryk: „Niema pana Makuszyńskiego — mówią z płaczem, — po co my żyjemy na świecie!". Mając serce ze szczerego złota, a język ze stali damasceńskiej, z jakiej, jak wiadomo, robiono sławne janczarskie jatagany, tureckie szable i noże do gilotyny, chowa je na godzinę głęboko pod kamizelkę, językiem tylko tnąc na prawo i na lewo, aż paździerze lecą z autora, aktorów i dyrektora, dopóki kurtyna nie uspokoi się na dobre. To też każdy autor, gdy wystawia sztukę, to przedewszystkiem patrzy, czy Makuszyński siedzi w krzesłach i jaką ma minę. Bo niech mu tam co będzie takiego, że swój złoty humor zostawi w domu, wnet za kulisami rozchodzi się wieść ponura, że Makuszyński jest z czegoś niezadowolony. Naturalnie, każdy aktor myśli, że to nie jego wina, tylko autora, który mu dał kiepską rolę, autor zaś chciałby mu ofiarować Seraj Padyszacha, byleby się tylko rozchmurzył i uśmiechnął po swojemu. Zdarza się to jednak bardzo rzadko, bo kto sobie w życiu przyświeca słońcem, a grzeje się sercem, nie ma powodu chodzić po świecie z wykrzywioną twarzą.

Chyba, żeby mu kto powiedział, że Lwów jest mniejsze miasto od Londynu, wtedy nie daj Boże! Przyzna rację, bo trudno, ale przeklnie śmiałka w żywy kamień i za karę poczęstuje go kiepskiem winem!

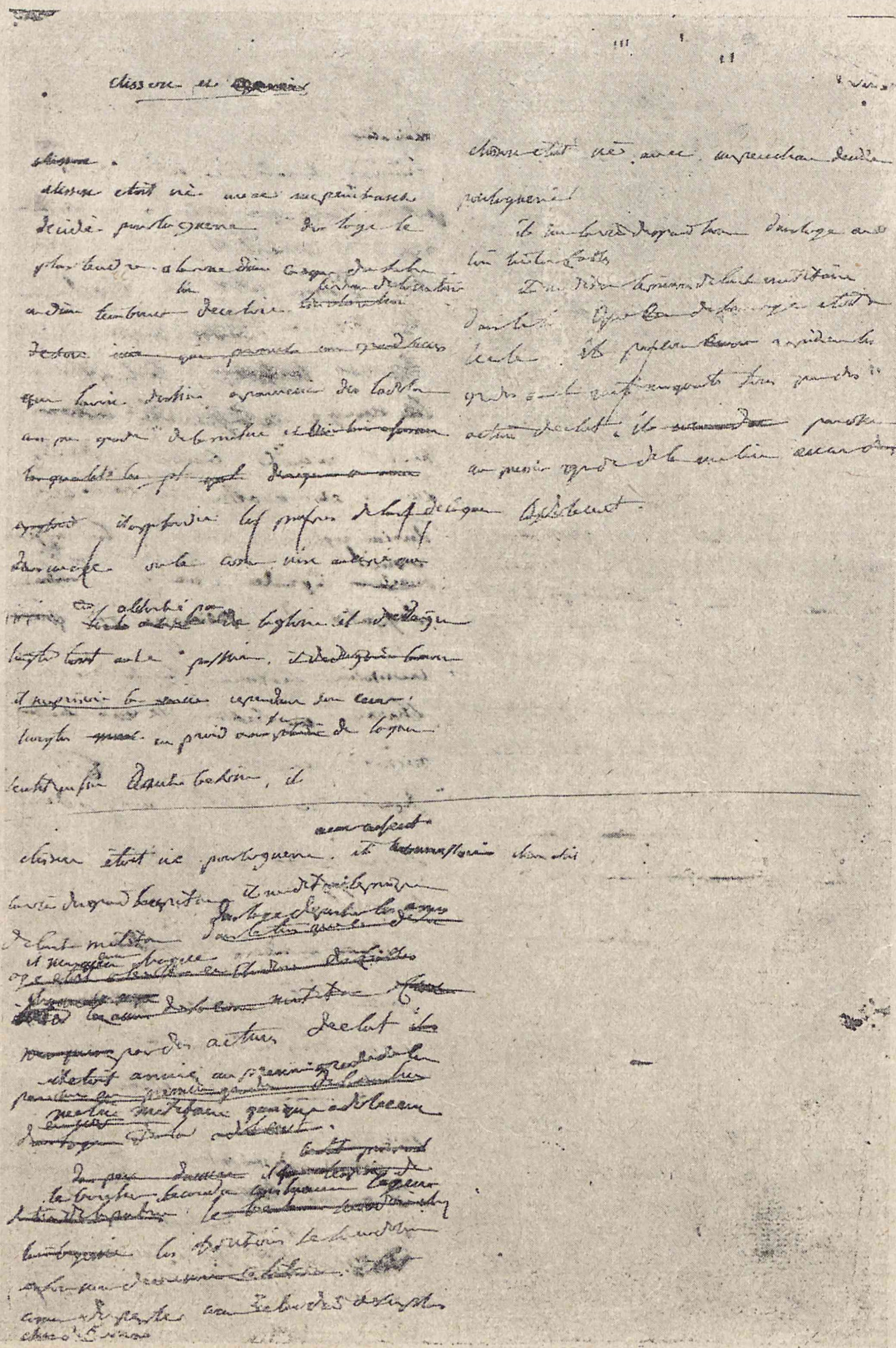
Ale oto przychodzi dzień premjery! Dzień chwały, albo zgonu! Lecz cóż to jest ta premjera! Wszakże to tylko pierwsze przedstawienie nowej sztuki, jakby się wszystkim zdawało. Otóż nie! Zapytajcie się dziewicy na drugi dzień po jej ślubie, co to jest małżeństwo, a jeżeli ma talent do miłości, odpowie wam słowami komedjopisarza: „Jest to najrozkoszniejsze cierpienie, stworzone po to, by nie zaginął ród ludzki". Chociaż niewiadomo, komuby to mogło sprawić zmartwienie, skoro by nie było nikogo, ktoby się martwił. Taksamo z komedjopisarzami. Gdyby nie było premjer, nie istniałby teatr, a gdyby nie było teatru, świat byłby uboższy o Arystofanesa, Sofoklesa, Aischylosa, Szekspira, Moliera i wielu, wielu innych, którzy wielkość Boga chwalą swemi dziełami, pokazując jego oblicze, ukryte w odrobinach ludzkich dusz płaczących i śmiejących się na scenie. Tak więc każdy autor jest w dniu swej premjery niby owa dziewica, pozostawiona sam na sam z małżonkiem, nie wiedząc, zali będzie rozdawcą czarów i upojeń, czy rozczarowań i smętków. Jedyna różnica, jaka istnieje między temi dziewictwami, jest ta, że dziewictwo autora dramatycznego jest niezniszczalne. Jest to ów wytrwały smok, któremu gdy się jeden łeb zetnie, to natychmiast odrośnie drugi, a gdy się zetnie drugi, to za rok wyrasta trzeci. I w dodatku każdy z nich coraz ładniej się nazywa: „Labirynt miłości", „Niewinna grzesznica", „Panienka z dancingu". Aby żyć! A w żaden sposób nie można powiedzieć nic podobnego o dziewicy, która traci to, co ma do stracenia, raz jeden, a potem jest już tylko panną. Pod tym względem autor dramatyczny może przeżywać swe gody weselne i kilkadziesiąt razy w życiu i nic się takiem echem nigdy nie odzywa w jego sercu, jak trzeci gong, który zapowiada rozpoczęcie przedstawienia. Stoi wtedy za kulisami i słucha! Słucha swych własnych słów, wypowiadanych przez aktora i zdaje mu się, że cały świat skurczył się, zmalał i wlazł na scenę. Po za nią bowiem w tej chwili już nic nie pozostało w przestworzu. Wszechświat to kurnik wobec jego serca, które stało się wszechświatem! Każde słowo wtedy źle powiedziane, to cios zdradziecki, zadany sztyletem, każda sypa aktora, to jeden więcej gwóźdź do trumny, a gdy się tak zdarzy, że wszyscy aktorzy naraz zaczynają spadać z tonu i śmiech ich dźwięczy niby szorowanie nożem po talerzu, a słowa namiętnej miłości przypominają odczytywanie rachunku, podanego nad ranem w restauracji z dancingiem, autor, o ile nim nie jest Wacław Grubiński, wydziera sobie garściami włosy z głowy i ucieka do garderoby w przeświadczeniu, że sztuka leży, jak nieboszczyk na Powązkach! Tymczasem na widowni ani się zanosi na klapę, wszyscy uważają, że aktorzy grają znakomicie. Publiczność słucha sztuki, czekając na chwilę, kiedy się będzie mogła roześmiać od ucha do ucha, każda publiczność bowiem już jest taka lekkomyślna i niewyrobiona, że na komedji woli się pośmiać, a na dramacie nie płacze, bo na niego nie chodzi, „mając, — jak mówi każdy porządny człowiek w Polsce, dosyć dramatów w domu". Za to gdy się roześmieje, a śmiech ten zahuczy między ścianami teatru, za kulisami — wiosna! Natychmiast inspicjent informuje autora, że „wzięło ich", aktor schodzący ze sceny, zlany potem wzruszenia i strachu, potwierdza: „słuchają".

Ten zaś, który ma wejść za chwilę, głosem zdławionym z tremy upewnia siebie, autora i cały świat, że komedja będzie miała powodzenie. I oto zaczynają się dziać prawdziwe cuda. Aktorzy uspakajają się i zaczynają grać z fantazją, nie zapominając nic z tego, co było powiedziane na próbach, a dodając wiele ze swych talentów. Ten, który przez trzydzieści dni prób nie umiał ani słowa, mówi bez zająknienia, jakby się oświadczał. Ten, który wałęsał się jeszcze wczoraj apatycznie za kulisami, przysięgając, że go artretyzm udusi lada dzień, fruwa, jak motyl! Bohaterka, która na generalnej próbie żądała lekarza, zapewniając, że ma grypę, roztacza czar wiośnianego uroku, a jej kochanek, który przez ostatnie pięć prób mówił ledwo dosłyszalnym szeptem, kropi swą rolę metalem Zygmunta! Bo na premjerze nikt nie choruje, nikt nie jęczy, nikt się nie skarży! Wszyscy walczą z tą czarną, milczącą masą, skupioną nieruchomo na widowni. Muszą się ożywić, poruszyć, zakołysać pod tchnieniem talentów, jak łan zboża pod tchnieniem wichru. Muszą uczuć w swych sercach życie gorejące. Muszą myśleć, jak jeden człowiek, i jak jeden człowiek, czy chcą, czy nie chcą, wznieść ręce, bić brawo i wołać: autor! Bo wtedy sztuka jest dobrze przyjęta, a kiedy sztuka jest dobrze przyjęta, wtedy słodycz radości napełnia każde serce rasowego aktora. A gdy to się stanie, w kulisach wciśnięty między stare meble a obdrapane przystawki, stoi autor, blady jak Samuel Zborowski przed ścięciem, i widzi świat przez leciuchną mgiełkę, co czyni jego wzrok podobnym do wzroku dziewicy i udaje, że wcale nie chce się pokazać publiczności. Aktorzy muszą go szukać i kiedy nareszcie daje się ubłagać, nogi mu się plączą, jakby miał ich z dziesięć, a w uszach dźwięczy ten cudowny hałas, który niewiadomo czy jest chorałem serafinów, śpiewających pieśń przyjęcia do Raju, czy tylko publiczność wyraża podziękowanie za niezmarnowany wieczór i dziesięciozłotowy bilet. I powoli jego oczy, szukające znajomych, zaczynają rozróżniać życzliwie uśmiechnięte twarze i poznawać tych, którzy siedzą w pierwszych rzędach obojętnie, z rękami opuszczonemi na kolanach. To są ci, którzy się w teatrze niczem nie wzruszają, ci, którym się płaci za to, aby nazajutrz napisali dla tych, którzy nie byli na premjerze, jak się udała nowa komedja. To są sędziowie, z zaspanemi twarzami nocnych stróżów. Nie wszyscy oczywiście. I w Sodomie było kilku sprawiedliwych. Ale autor nie myśli o nich. Jest upojony przyjęciem i przebacza wszystkim. Kocha cały świat! Kocha nawet tych, którzy jutro napewno napiszą: że „tylko dzięki aktorom publiczność dosiedziała do końca sztuki". Głupstwo! Premjera się udała, cóż więc w tej chwili istnieje pozatem?... Zwycięstwo! Zadanie spełnione, bo zadaniem każdego człowieka w życiu jest zwyciężać, zwyciężać i zwyciężać!...



Stefan Kiedrzyński

Rękopisy Napoleona, odnalezione przez prof. Sz. Askenazego, wyszły w wydaniu luksusowem w ograniczonej liczbie egzemplarzy nakładem znanego antykwarjatu naukowego p. Hieronima Wildera w Warszawie



Fragment romantycznej opowieści, na tle autobiograficznem, p. t. „Clisson i Eugenja"

CLISSON I EUGENJA

Napoleon, cesarz francuski, jako literat jest stosunkowo niewiele znany szerokiej publiczności. A jednak jego wrogowie, jak Barbey d'Aurevilly, uznali w nim „esprit, potężny rozmach idei i ekspresję stylistyczną zawsze nader malowniczą". Znakomity historyk Aulard nie wahał się napisać:

„Czytajcie jego pierwsze próby literackie. Już w nich okazuje się pisarzem genjalnym. Fragment z historji Korsyki, to jeden z najpiękniejszych pomników naszego języka, wyraz duszy już nieokiełznanej, lecz jeszcze czystej"...

Dotychczas znane były dwie bajki pióra Napoleona: „Maska proroka", „Królik, pies i myśliwy", djalog „Wieczerza w Beaucaire", historja Korsyki oraz studja literackie o Wirgiljuszu, o Mahomecie Voltaire'a. Przez literatów cenione są jego rozprawki pt. „O sposobie pisania historji Francji", „Sądy literackie", „Sądy o poetach dramatycznych", „O operze", „O dwóch obrazach Davida", „O karykaturze".

Napoleon pozostawił też pisma filozoficzne i polityczne, jak „Rozważania o życiu", „Rozprawa o szczęściu", „Djalog o miłości", „O ludziach", „O kobietach", „O Aleksandrze, Cezarze i Hannibalu", „O religji", „O wielkich ludziach", „O imperjum orjentalnem", „O rozwodzie", „O sławie i miłości", „O samobójstwie"...

Stosunkowo najlepiej znane są listy miłosne Napoleona. Trzeba przyznać, iż pisane są z ekspresją mistrzowską. Polski czytelnik pamięta płomienne, zwięzłe i cenne karteluszki Napoleona, pisane do pani Walewskiej. Są one w zwartej lapidarności słowa przedziwnie przepełnione żarem uczucia. Żonie swojej Józefinie pisał też wspaniałe listy. One to są dokumentem jego umiejętności pisarskich, jak również rozkazy, przemówienia, proklamacje.

Dzięki prof. Szymonowi Askenazemu sława Napoleona, jako literata, niepomiernie wzrośnie. Odkrył on w bibljotece kórnickiej zbiór autografów napoleońskich, o których istnieniu zaginęła pamięć. Rękopisy te dostały się do Polski w r. 1822. Kupił je hr. Tytus Działyński i złożył w bibljotece Kórnika.

Jak twierdzi prof. Askenazy, „zbiór kórnicki ogarnia najburzliwszą, najważniejszą, a najmniej znaną dobę młodości Napoleona, stanowiącą właściwy punkt wyjścia jego wielkiej karjery dziejowej, od zdobycia Tulonu aż do objęcia naczelnej komendy włoskiej". Wśród autografów tych znalazła się nieznana dotychczas powieść pt. „Clisson i Eugenja".

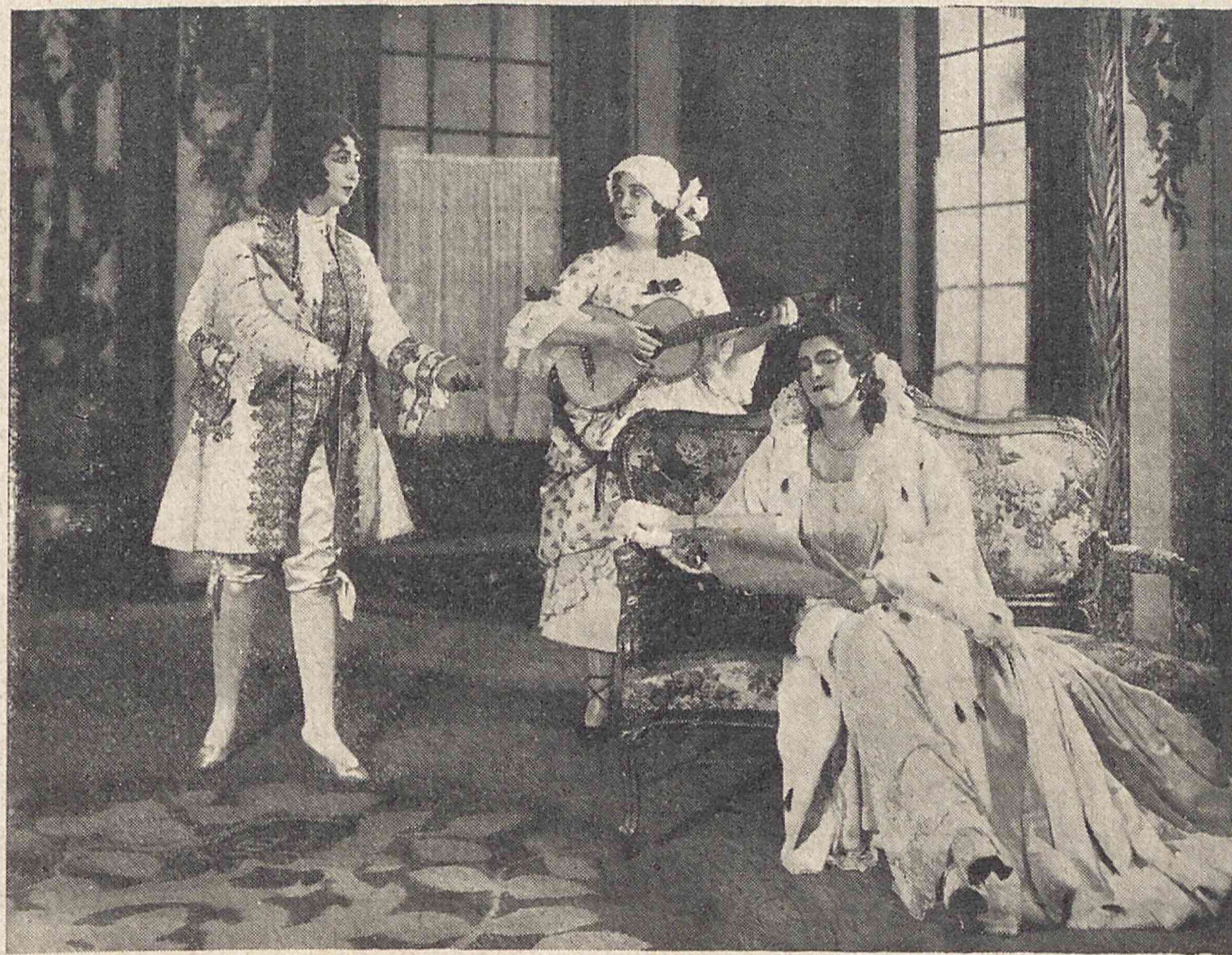
Rękopis ten ukaże nam Napoleona, jako beletrystę. Dla historyków jest to rarytas nad rarytasy. Napewno będzie powieść ta atrakcją i dla szerokiej publiczności.

„Clisson i Eugenja" zawiera romantyczną opowieść na tle autobiograficznem; maluje w niej Napoleon nieszczęśliwą miłość dwojga kochanków, to jest jego samego i przyszłej królowej szwedzkiej.

Powieść ta ukazała się w bogatem wydaniu antykwarjatu polskiego Hieronima Wildera. Nakładca dołożył wszelkich starań, aby tak niezwykłemu wydawnictwu nadać godną szatę zewnętrzną. Wydrukowano ją na sporządzonym wyłącznie w tym celu papierze, opatrzonym znakiem wodnym „N", papierze czerpanym Van Gelder Zonen. Najważniejsze fragmenty rękopisu podane są w podobiznach światłodrukowych. Całość kompozycyjna utrzymana jest w stylu cesarstwa.

Pisma te ukazały się w ograniczonej liczbie egzemplarzy (790). Dla bibljofilów będzie to więc okazja niezwykła. Wydawnictwo nie powtórzy się bowiem. Komentarze, przedmowę w języku polskim i francuskim napisał Sz. Askenazy.





WYKONAWCZYNIE RÓL KOBIECYCH: OLGINA KARWOWSKA, CZAPSKA
„FIGARO“ MICHAŁOWSKI, ZUZANNA—KARWOWSKA Fot. J. Malarski

Z MUZYKI

(Wielka zdobycz sezonu. — Mozart w Teatrze Wielkim)

Szeroki ogół naszej stolicy zdaje się nie orjentować dostatecznie w doniosłych zjawiskach życia muzycznego. Temu chyba należy przypisać, że pojawienie się rozgłośnego wirtuoza czy śpiewaka witają tłumy publiczności, natomiast występ kwartetu polskiego mija prawie bez wrażenia. Tymczasem ostatnie dni dobiegającego już do końca sezonu muzycznego stolicy przyniosły taką właśnie wielką, znakomitą sensację, godną poklasku i najgorętszego uznania szerokiej publiczności.

Na koncercie Sekcji Polskiej Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzyki Współczesnej, granym w sali Konserwatorjum, Warszawa mogła się była przekonać, iż muzycy polscy zapełnili lukę tak do niedawna bolesną w naszem życiu muzycznem. Na koncercie tym okazało się, iż w zespole złożonym z instrumentalistów, jak Józef Kamiński, Mieczysław Tursch, Alfred Wiłkomirski i Marjan Neuteich, posiadamy kwartet smyczkowy pierwszorzędnej jakości, kwartet mogący mierzyć się z najlepszemi zespołami zagranicznemi.

Warszawski Kwartet Smyczkowy (takie miano nosi ten zespół) brzmi znakomicie, zrównoważenie skrzypiec, altówki i wiolonczeli przypomina w tym zespole najszlachetniejsze tradycje kameralne, sumienność i dyskrecja muzyków w prowadzeniu i podporządkowaniu wzajemnem głosów stoi na wyżynie, przynoszącej zaszczyt Warszawskiemu Kwartetowi.

Oto może największa zdobycz bieżącego sezonu, zdobycz, wyrażająca się w powstaniu dwóch poważnych zespołów kameralnych. Pierwszy to kwartet Warsz. Tow. Mu-

WARSZAWSKI KWARTET SKRZYPCOWY



J. KAMIŃSKI—1 SKRZ., MIECZ. THURSCH—2 SKRZ., ALFR. WIŁKOMIRSKI—ALTÓWKA, MARJAN NEUTEICH—WIOLONCZELA

zycznego, drugi — szlachetniejszy i jeszcze lepszy w brzmieniu Kwartet Warszawski.

Zespół ów wykonał między innemi drugi kwartet K. Szymanowskiego. Ostatnie dzieło Szymanowskiego, — przyznajemy szczerze, — po jednorazowem wysłuchaniu nie da się opanować. Sądzę, że bujność kolorytu, wynalazczość egzotyki brzmienia posuwa może autor zbyt daleko z uszczerbkiem samej, — że się tak wyrazimy — tkaniny kompozycji. Zastrzeżenia moje są jednak warunkowe. Pozytywną zdobyczą tego kwartetu jest napewno wspaniały koloryt, niewyczerpany aż do końca kompozycji w rozległem i szlachetnem brzmieniu.

*

Teatr Wielki wystąpił z premjerą Wesele Figara Mozarta pod dyrekcją J. Bojanowskiego. W stosunku do Mozarta wszyscy, tak muzycy, jak miłośnicy, mają tysiące zastrzeżeń: Jedni pragną słyszeć Mozarta, utrzymanego niewolniczo w stylu rokokowym, drudzy uwspółcześniają Mistrza, trzeci widzą w nim stale prawzór wszelkiej rytmiczności i wysuwają ją na czoło, krępując wszystkie tempa.

Jesteśmy wolni od tych zastrzeżeń, choćby dlatego, — wyznajmyż tę okropną herezję, — że Mozart po za niewyczerpanym swym rytmem, harmonicznie nuży nas jako zupełnie już przezwyciężony w zasobach czy zaczynach harmonji. Uczeni w piśmie krytycy mogą z punktu widzenia samego stylu bardzo wiele zarzucić wykonaniu Wesela Figara. Nie będziemy podzielali ich sądów, występując z innemi zastrzeżeniami: Wykonanie Wesela Figara nie było znakomite, nie było jednak niedbałe. Dyrygent t. j. J. Bojanowski przestudjował partycję doskonale, panował nad nią nader czujnie. Śpiewacy z pp. Michałowskim i Karwowską na czele dawali maksimum wysiłku. Jeżeli mimo to, opera szła dość ciężko i nie zachwyciła publiczności, to może dlatego, że kierownictwo nie zorjentowało się dostatecznie w obiorze odpowiedniego brzmienia, odpowiedniej dynamiki dla kompozycji Mozartowskiej.

Wystawiając Mozarta, zapominamy stale (ta sama pomyłka zachodzi zawsze prawie przy odtwarzaniu kompozycyj fortepianowych mistrza), że pisał on dla małej orkiestry, obliczając brzmienie utworu dla małych sal ówczesnych. Dziś przy tak licznej stosunkowo obsadzie pulpitów delikatna koronkowa robota w prowadzeniu głosów albo gubi się i zaciera, albo wyjaskrawiona silnem natężeniem brzmienia razi swym szybkim rysunkiem. Aby więc osiągnąć zamierzony cel przy wystawieniu Mozarta, trzeba stylizować najczujniej samą jakość brzmienia i zespołu, utrzymywać tę jakość w najdelikatniejszem skupieniu, cieniować nader oszczędnem użyciem naszych współczesnych forte, dając natomiast pełne pole dla wszystkich odcieni mozartowskiego piana. Tylko na tej drodze uda się dyrygentowi skupić uwagę słuchacza i zniewolić do śledzenia melodji, osnutej na przezwyciężonych już dzisiaj zdobyczach harmonji.

P. J. Bojanowski nie poszedł tą drogą najtrudniejszą może, lecz najwdzięczniejszą. Dlatego Mozart Bojanowskiego okazał się żywym, obrotnym, lecz za głośnym i nazbyt trywialnym.

Ta wielka i niecałkiem udała próba naszej opery z Weselem Figara nie tylko nie powinna odstraszać kierownictwa od prób następnych, lecz właśnie przeciwnie: Prawdziwe opanowanie stylu wielkich mistrzów zdobyć można jedynie na drodze wielkich wysiłków i różnostronnych, mozolnych prób, oraz doświadczeń.

jkb.

Juljan Ejsmond

WINO ZIELONE

Wiosna pogańsko piękna
od dzisiaj rządzi światem.
Każde słowo staje się wierszem.
Każdy uśmiech ziemi — kwiatem.

Każdy słońca śmiejący się promień
jest złoty, jak dobra nowina...
Wiosenne szaleństwo zieleni
ma w sobie upojność wina.

Łączą się same wyrazy,
w uścisku miłosnym się plotą.
Łączą się same usta,
pijane najsłodszą pieszczotą...

Jak wino, jak wino zielone,
Wiosna do głowy bije!
Jak to szczęśliwie, że niebo
jest boskie i niczyje...

ROZUM i GŁUPSTWO

Przed dwudziestu pięciu laty wyśmiewał u nas „głupi rozumek ludzki" poeta - metafizyk, Stanisław Przybyszewski, w dramatach. Teraz wyszydza rozum człowieczy w ostatniej swojej komedji Włodzimierz Perzyński, sceptyk. W porządku. Sceptyk od tego właśnie jest, żeby rozumnie podrwiwał z rozumu, któremu się Bóg wie, co wydaje, taki jest zarozumiały. Niespodziankę atoli stanowi fakt, że Perzyński w swej ujmującej komedji opowiada się całkiem niesceptycznie za irracjonalizmem życia, za tak zwanem głupstwem, a od irracjonalizmu do metafizyki *il n'y a qu'un pas.* W następnej swojej sztuce, tej przyrzeczonej panu Arturowi Śliwińskiemu, kto wie, czy Perzyński nie powie wręcz sceptycyzmowi: „Dziękuję za służbę" i zagrzmi wielką wiarą. Będzie to szczera sensacja w świecie teatralnym, a ja do drugiego wydania *W moim konfesjonale* dopiszę rozdział p. t. *Nowe oblicze autora „Lekkomyślnej siostry"*.

Na premjerze komedji p. t. *Rozum i głupstwo* publiczność bawiła się wybornie, zwłaszcza podczas drugiego aktu, w którym świetny komedjopisarz z miłą nonszalancją nakreślił kilka brawurowych scen, zagranych z wdziękiem przez artystów, nie zmuszanych tym razem przez reżysera do makabrycznej marjonetkowatości, bo reżyserował tę nowość repertuarową nie p. Leon Schiller, lecz p. Karol Borowski. Obeszło się również bez reflektorów, błądzących ponuro wśród obleśnej ciemności od kulisy do kulisy, którą to inowację w postaci normalnego oświetlenia sceny powitała publiczność z żywem zadowoleniem. P. Śliwiński dał dekoracje wybornie pomyślane i wyśmienicie wykonane, dyszące radością „antikonstruktywną". P. Borowski nie domagał się rusztowań meyerholdowsko - tairowskich, uważając, że „nowoczesność" niekoniecznie musi łazić po drewnianych prostokątach i drabinach.

Autora wywoływano kilkakrotnie i zasypywano oklaskami.

W. Gr.



POST FESTUM

(Kilka uwag o londyńskiej premjerze W. Grubińskiego)

Zajęcie, wywołane przedstawieniem „Peace, War, and Revolution" Grubińskiego w Londynie w prasie polskiej, jest objawem bardzo pocieszającym i dodającym otuchy. Patrząc na ten drobny, początkowy wysiłek z odległości blisko trzech miesięcy, widzę, że nie był on wysiłkiem chybionym, że osiągnął cel podwójny. Z jednej strony przełamał lody



ROBERT ATKINS

obojętności, zupełnie zrozumiałej i naturalnej, wśród świata teatralnego i publiczności angielskiej. Jakkolwiek bowiem rzeczony wysiłek ograniczył się w tym wypadku do jednego przedstawienia, urządzonego staraniem i pod egidą Towarzystwa Teatru Międzynarodowego, wywołał on jednak silne i żywe zainteresowanie wśród wszystkich czynników, zajmujących się twórczością sceniczną, a przez pokazanie trzech utworów, odmiennych tonem i barwą, przekonał o możliwościach i bogactwie teatralnej twórczości polskiej. Dziś można już mówić z aktorami angielskimi o polskiej scenie i polskim dramacie. Ta grupa aktorów i aktorek, która poświęciła kilka tygodni czasu i pracy utworom Grubińskiego, wyczuła nieomylną intuicją artystów, że stanęła na progu nowego, nieznanego jej świata twórczości, gdyż nie ulegało wątpliwości, że przy całej wspólnocie tych utworów z twórczością i tradycją Zachodu, zawierają one żywioł swoisty, indywidualny, świadczący nie tylko o mocnej osobowości autora lecz i o rasowej odrębności kultury, z której i w której wyrósł. Nic też dziwnego, że po poznaniu kilku innych utworów polskich z „Weselem" na czele, naturalne zainteresowanie przerodziło się rychło w szczery zapał, graniczący w poszczególnych wypadkach z entuzjazmem dla tej nowej, niewyzyskanej dotąd w Anglji dziedziny artystycznych przeżyć.

To jedna strona. A druga, to gruntujące się stopniowo w świadomości odnośnych czynników polskich przeświadczenie, że pokazanie jednej sztuki polskiej, w dorównanej formie artystycznej, będącej zarówno wiernem odtworzeniem ducha oryginału, jak i transpozycją, zgodną z duchem dramatycznej kultury angielskiej, znaczy więcej, niż pisanie całych tomów o istnieniu polskiej twórczości scenicznej. Dlatego w tym kierunku trzeba iść dalej, stale i wytrwale, ale także czujnie i ostrożnie, pamiętając o tem, że droga niełatwa, że jest ona najeżona przeszkodami naturalnemi i nienaturalnemi, wreszcie, że pracę tę należy wykonywać *z poczuciem odpowiedzialności.*

Na szczęście, usunięcie najgorszych, wstępnych przeszkód sprawia, że niebezpieczeństwo nie jest już wielkie, głównie dzięki temu, że dalsza praca będzie już współpracą. Zarówno szereg wybitnych jednostek ze świata aktorskiego, jak i reżyser Trylogji Grubińskiego, Robert Atkins, są dla całej sprawy pozyskani na zasadzie zrozumienia, że realizacja dalszych zamierzeń jest nietylko zadowoleniem obudzonej potrzeby artystycznej lecz także wykonaniem zadania, leżącego na drodze ich zawodowej pracy. Na tej podstawie można budować.

Florjan Sobieniowski

KONCERT NA RZECZ BRATNIEJ POMOCY KONSERWATORJUM WARSZAWSKIEGO



PAWEŁ KOCHAŃSKI, ZNAKOMITY SKRZYPEK POLSKI, RYWAL KREISLERA, HEIFETZA, ULUBIENIEC PUBLICZNOŚCI AMERYKAŃSKIEJ I EUROPEJSKIEJ, GRAĆ BĘDZIE NA KONCERCIE W FILHARMONJI NA RZECZ BRATNIEJ POMOCY UCZNIÓW KONSERWATORJUM WARSZAWSKIEGO

DROBIAZGI TEATRALNE

TEATR IM. STANISŁAWSKIEGO W WARSZAWIE

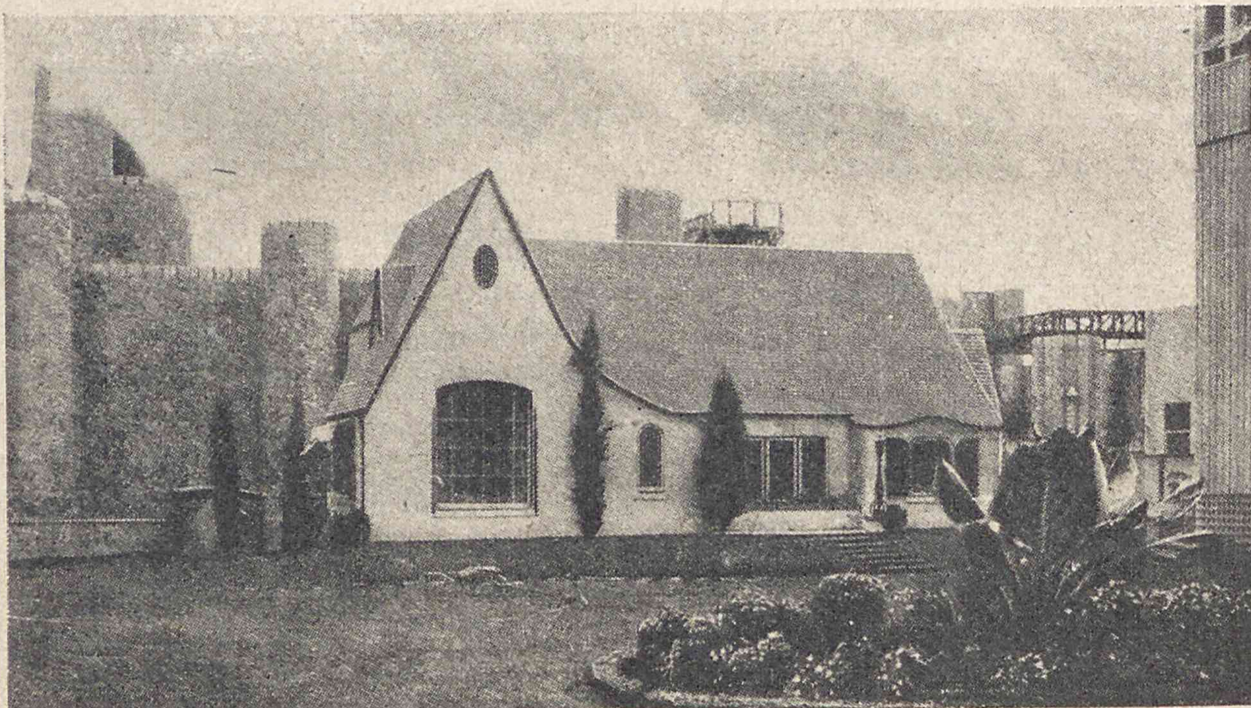
Moskiewski teatr Stanisławskiego zdobył sobie na całym świecie posłuch. Przed wojną posiadał znakomity zespół aktorów, reżyserów, dekoratorów. Rodzajowo - obyczajowe sztuki rosyjskie grał koncertowo, czemu nie należy się znów dziwić bardzo: był przecież emanacją artystyczną rosyjskiego narodu. Eksperymenty z Szekspirem, szczególnie z Hamletem, nie przyniosły wybitnego sukcesu. Znacznie więcej zdziałał dla wielkiego anglika zespół Reinharda. W repertuarze rosyjskim za to był teatr Stanisławskiego bezkonkurencyjnym.

Przewrót bolszewicki skazał wielu artystów tego teatru na banicję. W Berlinie, Pradze, Zagrzebiu, Belgradzie starali się oni odbudować świetność dawnego zespołu. Nie przyszło to łatwo. Wykonawcy musieli jąć się pracy, często przerastającej ich środki i możliwości artystyczne. W teatrze moskiewskim każda sztuka rosyjska posiadała troskliwą obsadę. Scenę urządzali znakomici malarze; każdy sprzęt dobierano, wyszukiwano, harmonizowano z treścią, nastrojem sztuki. Efekt całości działał niechybnie pietyzmem, skupieniem, niemal obrzędowością tych przedstawień.

W Warszawie ujrzeliśmy ten teatr w warunkach prawie egzotycznych. Na ubogiej, kinematograficznej scence, o kilku płachtach, imitujących dekoracje, wśród krzeseł i stołów z Pociejowa, przy wątpliwych efektach świetlnych mieli artyści wyczarować nam wizje Ostrowskiego, Tołstoja, Czechowa, Gorkiego. Czy mogli osiągnąć zadawalający, artystyczny rezultat w takich warunkach? Komedja Ostrowskiego „Bieda nie hańbi" wypadła naogół dobrze. „Żywy trup" Tołstoja „Wiśniowy sad" Czechowa, a nawet „Na dnie" Gorkiego nie osiągnęły artystycznego wrażenia. Artyści grali naogół dobrze, choć w zespole tym są bardzo nierówne siły. Z pań wyróżniły się: Grecz, Kryżanowskaja, Tokarskaja, Korsak. Z pośród mężczyzn: Pawłow, Duwan - Torcow, Asładnow, Espe.

Publiczność warszawska darzyła rosyjskich artystów rzęsistemi oklaskami. Przy naszych stołecznych zespołach, świetnych urządzeniach sceny, przedstawienia teatru Stanisławskiego wypadły ubogo i dezorjentująco. Kto widział, jak teatr ten pracował w Moskwie, był może jeszcze więcej rozczarowany. Niewątpliwy posiadał bowiem urok na swoim gruncie. Niewątpliwą też jest jego zasługa w dziejach teatru. Warszawskie przedstawienia nieodpowiednio zostały zaaranżowane.

F.



Willa Mary Pickford i Douglasa Fairbanksa w Hollywood

W HOLLYWOOD

Głośna i czuła para, czyli sielanka w Pickfair.

Mary Pickford i Douglas Fairbanks! Te dwa nazwiska stały się nierozłączne. Gdy się wymienia jedno, wspomina się zaraz o drugiem. Mary i Douglas, to najidealniejsza para małżeńska: łączy ich przedewszystkiem głębokie uczucie, potem — wspólne umiłowanie sztuki filmowej, i wreszcie — jednakowe upodobanie do życia cichego, rodzinnego.

Mary Pickford i Douglas Fairbanks zamieszkują od czasu, kiedy się pobrali, Hollywood. Posiadają tu, na wzgórzach Beverly Hills, piękną willę z dużym parkiem. — w sąsiedztwie Chaplina. Willa jest umeblowana gustownie i kosztownie w stylu angielskim. Mary i Douglas żyją naogół w odosobnieniu, z kolegami, poza studio, prawie że się nie stykają. Czasem, gdy do Hollywood przybywają jacyś znakomici goście, zwłaszcza z Europy, państwo Fairbanks wyprawiają wspaniałe przyjęcie, o którem szeroko rozpisują się dzienniki w Los Angelos i nawet we Frisco. Ale to zdarza się dość rzadko, małżonkom wystarcza ich własne towarzystwo. Tak bywa zwykle, iż gdy Fairbanks „kręci" jakiś film, Mary Pickford „kręci" równocześnie inny. W tym samym czasie pracują, aby móc wspólnie wypoczywać. Brak zaufania? Nie, po prostu — miłość. Kochają się, i snują nić szczęśliwego żywota w spokojnym i odosobnionym zbytku, zdala od ciekawych oczu tłumu.



W rocznicę małżeństwa: Wielki „Dug" i słodka „Mary" sadzą drzewka

Szczupłe grono bliższych znajomych, dopuszczone do „Pickfair" (tak się zowie owa posiadłość), bardzo sobie chwalą przyjęcia u pp. Fairbanks. Liczba zaproszonych ściśle ograniczona, służba we frakach i białych rękawiczkach, jedzenie i trunki doskonałe, — atmosfera przesiąknięta tą wytwornością, którą znamy z filmów, obracających się w wykwintnych salonach arystokratycznych. Gospodarstwo są zawsze przyjemnie uśmiechnięci, uprzedzająco grzeczni, — tą grzecznością zdawkową, która jest przywilejem osób z wyższego towarzystwa.

Lecz pod osłoną tego nieco stereotypowego uśmiechu Mary Pickford chowa niezwykłą inteligencję, i co więcej, — nieugiętą wolę. Ta mała blondynka o jasnych, niebieskich oczach, wie zawsze, czego chce i prawie zawsze dopina swego. Ma niezrównane, praktyczne wyczucie rzeczywistości. Ona właściwie kieruje interesami, ona odbywa codzienne konferencje ze swoim *business-menager'em*, tj. z agentem, zajmującym się sprawami finansowemi małżeństwa. Ona omawia projekty wszystkich tranzakcji, kontraktów. Państwo Fairbanks posiadają już dziś wielką fortunę i trzeba nieladajakiej głowy, by tym majątkiem dobrze administrować. Zdolności pani Mary w tym kierunku budzą podziw nawet wśród potentatów giełdowych.



Dug, Mary i Charlie — trójca potentatów filmowych

Douglas natomiast oddaje się z zapałem sportom. Gra z zapałem w golfa, jest żarliwym automobilistą, — w swem studio otoczony jest rzeszą gimnastyków, akrobatów, żonglerów i masażystów. Tam trenuje się nieustannie, ćwiczy się w swych niesamowitych skokach i rzutach. Tam szuka nowych, sensacyjnych pomysłów, któremi później

— w nowym filmie — świat cały zadziwi.

Douglas zjawia się niekiedy w Music - Hall'ach. Gdy zobaczy nowy „kawał", który go zainteresuje, angażuje niezwłocznie artystę, kupuje od niego pomysł. W ten sposób nauczył się chwytać ustami papierosa, który mu ktoś inny rzuca, Albo długim batem wydziera przechodniowi papierosa z ust. Wskakuje do samochodu, jak kot. Jego zręczność, łatwość i elegancja w ćwiczeniach akrobatycznych jest niezrównana. Ale też pracuje, by utrzymać „formę"! Co za wysiłek! Bezustanny, nieprzerwany!

Ta najczulsza, najlepiej dobrana para małżeńska fizycznie razi przeciwieństwem: Douglas jest wysoki, Mary jest mała. On zdaje się żyć życiem swych muskułów, ona jest typową intelektualistką. On jest impetyk, uczuciowiec, — ona chłodna, opanowana. Te kontrasty właśnie zapewne sprawiły, że tak jest im dobrze razem.

Gordon

„ZEPPELIN" W GOŚCINIE

Druga wyprawa wielkiego niemieckiego statku powietrznego do Ameryki nie powiodła się. Uroczysty odjazd z Friedrichshafen stał się niemal świętem narodowem. Gdy olbrzym wznosił się w powietrze, rozentuzjazmowane tłumy — na ziemi — wiwatowały radośnie... Wśród pasażerów, ulokowanych w kabinie, był szympans, którego wieziono w prezencie dla ogrodu zoologicznego w San - Francisco. Szympansowi włożono do łapy chusteczkę i małpa dawała nią serdeczne znaki żegnającej ciżbie. Czasopisma niemieckie reprodukowały fotografję tej wzruszającej sceny.

W czasie przelotu nad południową Francją i Hiszpanją zaczęły kolejno psuć się motory i komendant statku, dr. Eckener, zdecydował się zaniechać przelotu przez Atlantyk. „Zeppelin" zakręcił wielkie koło i jął wracać do domu. Wprędce jednak i powrót okazał się niemożliwy. Z pięciu motorów — cztery stanęły. Jeden jedyny czynny nie był dostateczny. Tymczasem mistral dął przekornie. Sytuacja stawała się krytyczną. Dr. Eckner zwrócił się przez radio do rządu francuskiego z prośbą o pozwolenie lądowania.

Nowe francuskie „ministerjum powietrzne" udzieliło niezwłocznie upoważnienia, rozkazało władzom na prowincji okazać załodze wszelką pomoc. Po kilku bezskutecznych próbach lądowania, „Zeppelin" nareszcie mógł dotknąć ziemi w Cuers - Pierrefeu, w pobliżu Tulonu.

Dzięki pomocy technicznych wojsk francuskich, operacja odbyła się zgoła szczęśliwie. I co za szczególny traf: w Cuers - Pierrefeu znajdują się właśnie hangary dla wielkich statków powietrznych, — tam bowiem stacjonuje „Dixmüde", odebrany na zasadzie traktatu wersalskiego niemcom. Wyprowadzono z hangaru statek francuski, wprowadzono doń Zeppelina. Pasażerowie, w ich liczbie i szympans, byli bardzo wyczerpani wrażeniami przeprawy. Załoga była śmiertelnie znużona. Dr. Eckener musiał przyznać, że statkowi groziło niebezpieczeństwo. Lądowanie w miejscu nieodpowiedniem może być dla pasażerów i załogi groźnem.

Prasa paryska odniosła się do tego wypadku z najwyższą kurtuazją. Wszystkie dzienniki wyrażają lotnictwu niemieckiemu wyrazy sympatji i współczucia. Dobre wychowanie, takt i wysoka kultura! Nie wszędzie prasa umiałaby się zdobyć na taką powściągliwość i uprzejmość! Tylko między wierszami tu i owdzie błąka się delikatny uśmiech, lekko drwiący, — ten czarujący uśmiech, który jest jednym z najcenniejszych powabów Francji i jej mieszkańców. Bo tu się wszystko uśmiecha: natura, słońce — i ludzie.

A Niemcy muszą dziękować za uprzedzająco grzeczną gościnność.

(k).

TEATR „MORSKIE OKO": NOWA REWJA p. t. „WARSZAWA W KWIATACH"



PP. SOKOŁOWSKA, JAKO COMMERSE, SEMPOLIŃSKI, JAKO COMPÈRE

Fot. St. Brzozowski



WYKONAWCY: WOJCIESZKO, OLSZA I LIDA HALAMA, W BRAWUROWYM TAŃCU FOOTBALISTÓW

BRUDNY CEMENT

Nie wszyscy działacze społeczni są zwolennikami ewolucji. Szczególnie po wojnie rewolucyjne metody działania zdobyły sobie prawo obywatelstwa nawet wśród warstw ideowo sprzecznych z wszelkiego rodzaju radykalizmem. Poglądową lekcję rewolucjonizmu à rebours dał Europie B. Mussolini. Uczył się on politycznie działać i myśleć u G. Sorela, mistrza Lenina. Pisarz ten na wiele lat przed wojną podnosił wartość Gwałtu, jako sankcji rewolucyjnej. Nie argumentował w obronie humanitaryzmu. Nowa proletarjacka kultura odżegnywała się od burżuazyjnych upiorów liberalizmu, praworządności, legalności.

Ideje te nie były nowe. Znaliśmy je z pruskich metod działania i myślenia państwowo - politycznego. Pouczał nas przecież kurs hegelianizmu: wszystko, co daje siłę państwu — mądre jest, a nawet sprawiedliwe. Ten sam sposób ujmowania zjawisk zastosowano do zorganizowania proletarjatu. Nauka o mycie G. Sorela jest też swoistą parafrazą heglowskich doktryn państwowych.

Czy nie byłoby stosowne jednak wrócić do tez ewolucjonizmu w pojmowaniu i działaniu społecznem? Jest to droga uciążliwa, żmudniejsza, lecz pewniejsza od eksperymentów rewolucyjnych.

Dziesięciolecie powojenne dało nam wiele dowodów ryzykowności, dezorganizacji, niedoli, tragizmu przy eksperymentach tego rodzaju. Najjaskrawsze wydarzenia wstrząsnęły społeczeństwem rosyjskiem. Chciano je uszczęśliwić wbrew woli: garść zorganizowanych a zdeterminowanych ludzi chwyciła władzę w ręce i przy pomocy krwawego terroru owładnęła rozległem państwem. Rezultat tej rewolucji jest wiadomy. Nawet wśród zwolenników ostro i nieubłaganie omawia się zdobycze społeczne tego przewrotu. Strumień życia nie dał się wtłoczyć w sztuczne łożysko doktryny. Nowa polityka ekonomiczna musiała wrócić do starych metod gospodarki indywidualnej...

Padają jeszcze z nieprzejednanego obozu zatrute strzały; są one niegroźne. Teraźniejsi wodzowie proletarjatu likwidują szybko malkontentów. Syberja posiada jeszcze z czasów carskich obszerne więzienia. Wyjątkowo wysiedla się też z granic państwa. Stało się to z Trockim, najbliższym, zaufanym przyjacielem Lenina, b. komisarzem do spraw wojskowych.

Z rewolucji nie są zadowoleni obywatele rosyjscy, nie może być zadowolony wysiedlony Trocki, wódz bolszewizmu. Komuż przyniosła ona spełnienie życzeń? W każdym razie nie ludziom bezinteresownym. Wszelkiego rodzaju mierzwa, umiejąca prędko stosować się do nowych, narastających warunków, zrobiła karjerę i trzyma się jej chytrze. Zorganizowała się ona doskonale i... brudzi czysty, proletarjacki cement.

Tak przynajmniej poucza nas uznany i polecany pisarz bolszewicki F. Gładkow w powieści swojej pt. „Cement". Niby stylizuje on swego bohatera po amerykańsku. Wszystko udaje się Glebowi, choć doświadcza srogich lekcji. Na ołtarzu fabryki cementu złożył on życie rodzinne, śmierć dziecka, szczęście osobiste. Mimo sprzeciwu mędrców sowieckich i wbrew nim puszcza ją w ruch. Czy na długo? Cement niepotrzebny jest Rosji. Na rynek zagraniczny też nie mogą go puścić. Będzie to znów bezcelowa praca, choć ofiarność Gleba jest bez zarzutu.

Ofiarność jego często jednak budzi refleksje zgoła dziwne. Wie on, że z żoną jego romansuje Badin. Wie, że ten jegomość nadużywa swojej władzy, gdzie tylko może. Zna wartość Szramma, drugiego głowacza sowieckiego. O nędzy braci swoich robotników nie potrzebuje dowiadywać się z raportów. Stosunki życiowe widzi dokładnie, bo trudno jest nakarmić doktryną ludzi rozleniwiałych, zdemoralizowanych, rozgadanych. Patrzy, jak wyłączają z partji ludzi zasłużonych. Jest jednak... ofiarny. Niekiedy protestuje, niekiedy uda mu się przekonać kogoś w centrali o swojej słuszności. Niewiadomo jednak, czy jest to jego zasługa, czy też wynik sojuszu Daszy z Badinem.

Przed wojną Dasza Czumałowa była uczciwą żoną. Obowiązki względem Gleba wypełniała starannie. Córka rozjaśniała im dom szczęściem i weselem. Jako poprawna komunistka, Dasza oddała ją do domu dla dziewcząt, gdzie chowano ją według zasad kollektywistycznych. Córka ta umarła. Autor rozsnuwa dookoła Niurki takie refleksje:

„Nietylko mleko matki potrzebne jest dziecku. Żywi się ono sercem i pieszczotą matczyną. Drętwieje i więdnie dziecina, jeśli matka nie grzeje jej krwią własną i nie nasyca jej łóżeczka własną duszą i własnem tchnieniem.

Czy trzeba komentować te słowa Gładkowa? Jest to akt kapitulacji wobec rzeczywistości. Cóż może powiedzieć o sobie komunista Siergiej? Prawie, że wydał na śmierć brata swego, b. pułkownika armji carskiej. Uczynił to z wiary w ideał rewolucyjno - komunistyczny. Cóż, że nawet cementownia pójdzie w ruch? Szła ona przecież znakomicie za carskich czasów. Fabryka ta nie może być symbolem racji czy nie racji jakiejkolwiek idei. Zmarnowali ją bolszewicy, Gleb chce ją odbudować. Nie może jednak ożywić miljonów ofiar ani okupić strat kulturalnych czy materjalnych... Rewolucyjna metoda dała przewagę, ale nie uszczęśliwiła nikogo...

Zburzyła jego własne życie; zatopiła w krwi miljony rodzin. Zniszczyła dobrobyt...

Cóż przyniosła? Frazesy wątpliwej wartości... Biurokracja komunistyczna nie jest wcale gorsza od carskiej. Wyrzeka na nią Gładkow, jak robią to napewno liczni komuniści. Usprawniła tylko system... administracyjnych i ochronnych rządów. Bez sądu stawia się ludzi pod ścianę teraz, jak robiono to i dziesięć lat temu...

Czyż nie należałoby tych dotkliwych kolekcji rzeczywistości zużyć do skromnego przypomnienia, że ewolucjonizm nie byłzłą metodąpojmowania i działania polityczno - społecznego!... Nieprędko da się to ludziom przetłomaczyć. Teraz żyjemy ciągle w hypnozie Sorelowskich teorji o zbawiennym skutku przemocy.

Eustachy Czekalski



„Świat" na Powszechnej Wystawie Kraj. w Poznaniu

PIERWSZE DNI

Powszechna wystawa krajowa w Poznaniu otwarta. Rozpoczęła się przy najpomyślniejszych horoskopach, za wyjątkiem meteorologji. Zapobiegliwa, pełna energji dyrekcja wystawy myślała, zdawałoby się, o wszystkiem. A jednak, jednak zapomniała o jednym, może drobnym, ale ważnym szczególe. Zapraszała gości, zapraszała dziennikarzy, a zapomniała zaprosić Pima, nie weszła z nim w ściślejsze porozumienie.

I Pim pomścił się srogo. Przywitał otwarcie wystawy otwarciem deszczowych upustów, dając gościom sposobność poznania przyjemności zarówno ulewy, jak typowego polskiego kapuśniaczku. Meteorologiczna inauguracja wystawy była więc jak najfatalniejszą, co jednak może być bez przesady poczytane za dobrą wróżbę w myśl starego przysłowia o mokrym maju i zbożu niby gaju. Innemi słowy: powinien być chleb z tej mąki.

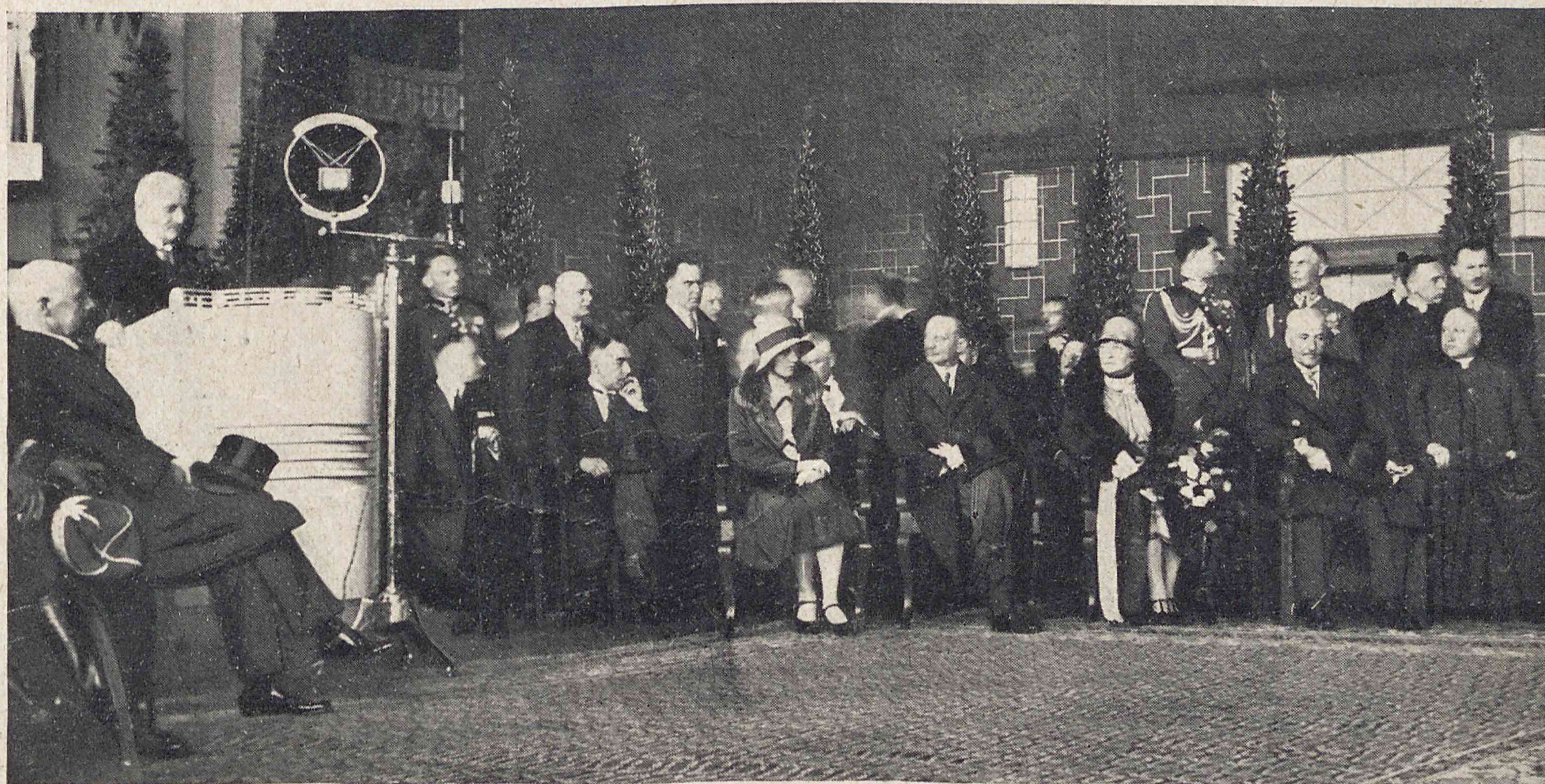
Narazie jednak szczękali zębami z zimna przemoczeni dygnitarze, zmokli dyplomaci, napróżno walcząc parasolami z wojowniczo nastrojoną przyrodą, która nie respektuje zupełnie pacyfistycznych tendencji Ligi Narodów. Było naprawdę zimno od zewnątrz.

Natomiast od wewnątrz grzało nas polaków poczucie dobrze i sumiennie wypełnionego narodowego obowiązku. Daliśmy na wystawie bardzo interesujący obraz bogactw i możliwości naszego kraju, obraz wprost imponujący cudzoziemcom a dla nas samych, mimo czasowej, niepomyślnej konjunktury ekonomicznej, niezwykle pocieszający, bo rokujący bądź co bądź pomyślne i piękne nadzieje na bliższą czy dalszą przyszłość.

Niezbędnie podkreślić należy dziwnie niepolską punktualność w dotrzymaniu terminu otwarcia wystawy. Na możliwość odroczenia przygotowywały pogłoski opinję publiczną już od dość dawna. Argumentowano najpierw silnemi mrozami, które na kilka miesięcy unieruchomiły wprost wszelkie prace. Potem cytowano niebezpieczeństwa niepogody i jeszcze inne. Pogłoska przesuwała już termin otwarcia o dwa tygodnie, a może i dłużej. Jeszcze na kilka dni przed otwarciem wystawy dotrzymanie terminu wydawało się dość problematyczne tym, którzy oglądali postępy robót. I oto w ostatnim momencie kierownictwo wystawy i pozostająca pod jego rozkazami armja pracownicza rozwinęły bez przesady amerykańskie tempo pracy. Dotrzymano ściśle naznaczonego terminu i to jest niewątpliwie bardzo wielki tryumf energji i przedsiębiorczości polskiej.

Zapewne. To i owo wymaga jeszcze uzupełnienia, niektóre stoiska dopiero dzisiaj mogą zaprezentować się zwiedzającemu. Ale nie należy zapominać, że czy w Wembley czy w Paryżu na ostatniej wystawie sztuki dekoracyjnej młotki robotnicze stukały jeszcze przez długi czas po oficjalnem otwarciu wystaw. Więc tylko nieuleczalny pesymista mógłby z tego tytułu podnosić zarzuty. Przeciwnie, każdy osądzający bezstronnie przyznać musi, że dokonano wprost cudów. Przecież jeszcze na 24 godzin przed otwarciem wystawy panował na jej terenie trudny do opisania chaos i nieporządek, wszędzie walały się śmiecie i odpadki. Niewiele godzin wystarczyło, by uporządkować teren i doprowadzić go do idealnej czystości.

Powszechna wystawa krajowa w Poznaniu otwarta. Dokonał tej uroczystej ceremonji p. Prezydent Rzeczypospolitej w otoczeniu przedstawicieli rządu; zjechali na uroczystość otwarcia dyplomatyczni reprezentanci Francji, Belgji, Bułgarji, Danji, Hiszpanji, Grecji, Węgier, Japonji, Łotwy, Holandji, Persji, Czechosłowacji, Jugosławji, Szwajcarji, Sowietów. Przybyli liczni przedstawiciele przemysłu i



Dnia 16 b. m. Pan Prezydent Rzplitej dokonał otwarcia Wystawy w Poznaniu. Zdjęcie nasze przedstawia moment przemówienia prez. Ratajskiego w hallu głównego pawilonu P. W. K.

handlu, dziennikarze, ziemianie itd., itd.

Ale... ale Poznań się smuci. Na przyjęcie gości przygotowano tysiące kwater, nie licząc specjalnego hotelu wystawowego i istniejących hoteli. Ten i ów gospodarz czy gospodyni wymawiali od 15-go maja mieszkania stale u nich kwaterującej uczącej się młodzieży, bo wszak w tym właśnie dniu miał spłynąć na wszystkich deszcz złota, w każdym pokoju miał zamieszkać gość wystawowy z grubszą gotówką. Te obliczenia zawiodły nieco i dlatego Poznań się smuci. Miejscowe pisma przepełnione są ogłoszeniami o pokojach do wynajęcia dla wystawowych gości. Oczywiście, liczba przyjeżdżających zwiększa się z dnia na dzień. Ale jeszcze ciągle jest ich za mało, by zaspokoić nadzieje i apetyty wszystkich wyczekujących. I wciąż jeszcze ktoś skarży się jękliwie, że zawiódł się w oczekiwaniach, że u niego nikt jeszcze nie mieszka.

Nie ulega już wątpliwości, wnioskując z rosnącej stale frekwencji, że wystawa poznańska ściągnie naprawdę tłumy ludzi i z Polski przedewszystkiem i z zagranicy, gdzie obudziła żywe zainteresowanie. Bo nawet niemcy, którzy odnoszą się do niej z przesadnym krytycyzmem, śledzą bacznie każdy jej szczegół, a mowę niemiecką słyszy się bardzo często na terenie wystawy. I byłoby doprawdy nierozwagą już dzisiaj wyciągać jakieś wnioski z obecnej frekwencji. Wszak wycieczki zagraniczne dopiero gotują się do przyjazdu, wszak ludzie pracy mogą zwiedzić wystawę dopiero podczas okresu wypoczynkowego, który przeważnie wypada na miesiąc czerwiec, lipiec i sierpień, wszak atrakcje wystawowe, obmyślone przez dyrekcję, zaledwie się rozpoczynają, a najważniejsze są zapowiedziane dopiero na czas późniejszy. Wystawa poznańska nie jest kramikiem, który oblicza swe powodzenie na jeden dzień, czy tydzień. Powinna ona i niewątpliwie będzie ściągać liczne zastępy gości w ciągu całych miesięcy.

Tą myślą — i zupełnie słusznie — kierowały się także kompetentne władze, hamując w zarodku zakusy drożyźniane, jakich nie brakło, oczywiście, ze strony jednostek, niedoceniających społecznego i narodowego celu wystawy, a natomiast ceniących własny zysk choćby na krótką metę. Zwalczanie drożyzny mieć będzie dla powodzenia wystawy duże znaczenie, bo wszak drożyzna mogłaby odstraszyć wielu zwiedzających, mniej szczodrze wyposażonych przez los. Niewielki zysk przy ogromnych przewidywanych obrotach może dać świetne końcowe wyniki, a natomiast sporadyczne, choćby nawet wielkie zyski nie zaważą prawie na szali. Zarządzeniom w tym kierunku przyklasną z uznaniem wszyscy, którzy wybierają się na Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu.

Rom.

Poznań.



Dziennikarze pols y na wystawie w Poznaniu na tle dancingu. Budynek ten jest najwyższą konstrukcją drewnianą w Europie. Pomysł i wykonanie arch. Millera

WYSTAWA POZNAŃSKA NA FOIRE DE PARIS



W tych dniach otwarta została Foire de Paris, na którym odznacza się Stand-Poznański, zorganizowany staraniem Polexpressu w Paryżu. Na naszej fotografji widzimy Stand Polski — wgłębi dyrektor Polexpressu

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu podczas Zielonych Świątek



Pan prezydent Rzeczypospolitej prof. Ig. Mościcki, kardynał Hlond, ministrowie, reprezentacje zagraniczne i delegacje społeczeństwa na popisach hippicznych w Poznaniu

Słowiański zjazd śpiewaczy w Poznaniu: Stadjon na Górnej Wildzie, zapełniony 12-tysięczną reprezentacją towarzystw pieśniarskich z Polski, Czechosłowacji i Jugosławji

ARTYSTYCZNA SZATA STATYSTYKI NA P. W. K.

Jednym z najciekawszych pawilonów na Powszechnej Wystawie Krajowej jest pawilon samorządowy. Tu skupia się cały dorobek kulturalny i gospodarczy naszego samorządu w całej jego rozciągłości, tu miasta polskie manifestują swoją tężyznę gospodarczą, organizacyjną, swój stan posiadania.

Na osobną uwagę, godną podkreślenia, zasługuje strona architektoniczna, plastyczne ujęcie dziesięciolecia dziejów i rozwoju naszych samorządów. To wysoce odpowiedzialne zadanie rozwiązał po mistrzowsku prof. Wilhelm Rudy. Artystyczne zobrazowanie historji naszego samorządu w jego spoczywało ręku i samorządy województw: Poznańskiego, Śląskiego, pawilon, hala reprezentacyjna Związku miast, pokaz Biura zjazdów samorządowych ziemskich (w czem wzorowy powiat częstochowski), a ze stoisk indywidualnych poszczególnych miast jak Toruń, Gniezno, Grudziądz, wzorowe stoisko małych miast polskich Ołyki i Rypina — to wszystko ukazał nam prof. Rudy w opracowaniu artystyczno - poglądowem, w pięknej, malowniczej szacie. Jego dziełem było twardy i oporny materjał, dotyczący istoty dorobku naszych samorządów, ożywić artystycznie, dać godną mu plastyczną syntezę, zestawić i połączyć w jedną całość organiczną, przemawiającą do wyobraźni i pojęć każdego zwiedzającego.

Wszędzie w pawilonie samorządów uderza nas precyzja w zobrazowaniu polskiej rzeczywistości. Dane statystyczne, martwe cyfry w plastycznem ujęciu przy zastosowaniu umiejętnych środków świetlnych i ruchomych przemawiają do każdego laika. Dają rzeczywisty mu pogląd, przemawiają do przekonania, pouczają o rozwoju skomplikowanego bądź co bądź aparatu samorządowego. Zamiast prymitywnych statystyk na papierze, mamy do czynienia z modelami w drzewie, gipsie, gdzie światło i ruch i diapozytywy odgrywają rolę ważną. Wszędzie widzimy żywe ilustracje, grafikony i tablice, obrazowo figuralne przedstawienie dochodów, wydatków, podatków i t. p. funkcji naszych samorządów. Ta plastyczna statystyka wnętrza pawilonu samorządowego pozatem jeszcze ilustrowana jest modelami wzorowych urządzeń w drzewie i gipsie.

Niezwykle pomysłowo rozwiązano strukturę organizacyjną naszych samorządów. Wystarczy chociażby wymienić szczegóły, uplastyczniające dokładnie wszystkie czynności urzędu gminnego w



Prof. Wilhelm Rudy, twórca i wykonawca artystycznych eksponatów dla samorządów na P. W. K.

samorządach ziemskich, które w okresie dziesięciolecia wzrastały corocznie. Przedstawiono tu m. in. rolę urzędu wójtowskiego: wójta, jako kwatermistrza, wójta jako urzędnika przy poborze wojskowym, wójta nakładającego kary administracyjne za nieposyłanie dzieci do szkoły i t. p.

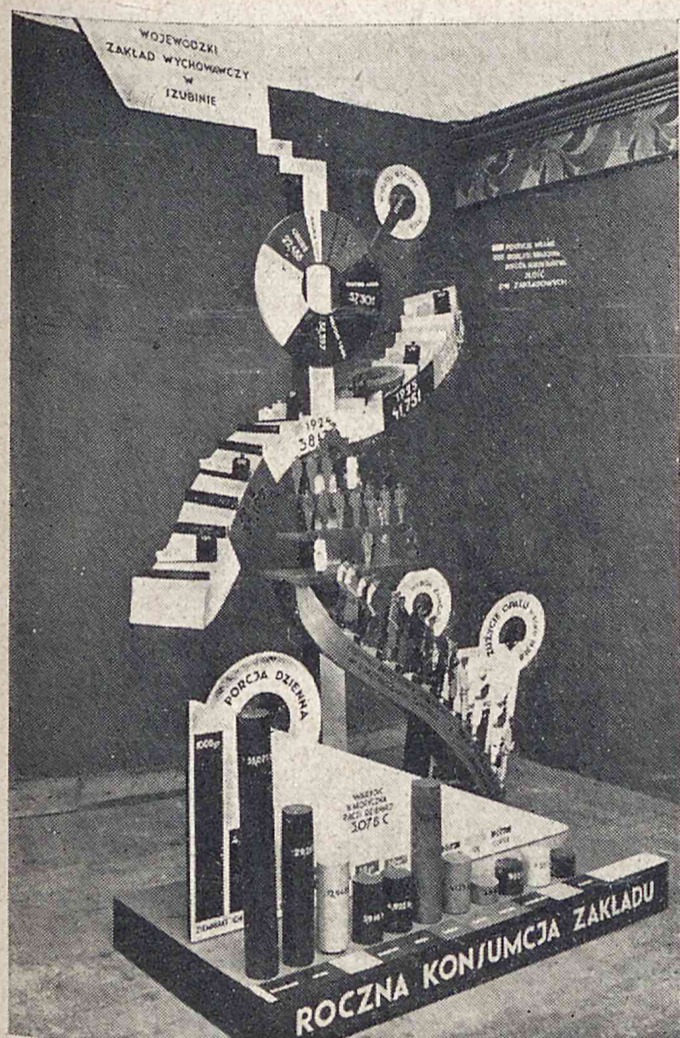
Ta strona artystyczna wystawy w pawilonie samorządowym opracowana została według wymogów nowoczesnych zasad, obowiązujących na zachodzie. W pierwszym rzędzie chodziło o możliwie najskrupulatniejsze wykorzystanie materjału faktycznego, włączenie go w obrąb plastyki w każdym drobiazgu, unikanie dotychczas stosowanych szablonów, zastosowanie wszelkich rozporządzalnych środków z dziedziny racjonalnego wystawiennictwa w sposób malowniczy, ześrodkowany, przy jednoczesnem uwzględnieniu należytego poziomu całości artystycznej. Dzięki wysiłkom i umiejętnemu kierownictwu prof. W. Rudego pawilon samorządowy pod względem artystycznym jest prawdziwą atrakcją Powszechnej Wystawy Krajowej.

Wystawa Związku miast polskich w hali reprezentacyjnej jest wymownym przykładem poczucia artystycznego prof. Rudego, który jej wnętrze planował. Część reprezentacyjna obejmuje wielki hall pawilonu samorządowego, przyozdobiony fryzem, składającym się z 16 herbów miast wojewódzkich i 32 innych miast.

Ogromu tych prac artystycznych, o których wspomnieliśmy powyżej, dokonano w pracowniach prof Rudego. Pracowało nad ich wykonaniem około 40-u artystów z Poznania, Krakowa i Warszawy. Jedna grupa, mająca za zadanie przygotować dokładne dane staty-



Grupa artystów przy pracy pod kier. prof. W. Rudego
Fot. J. Puciński

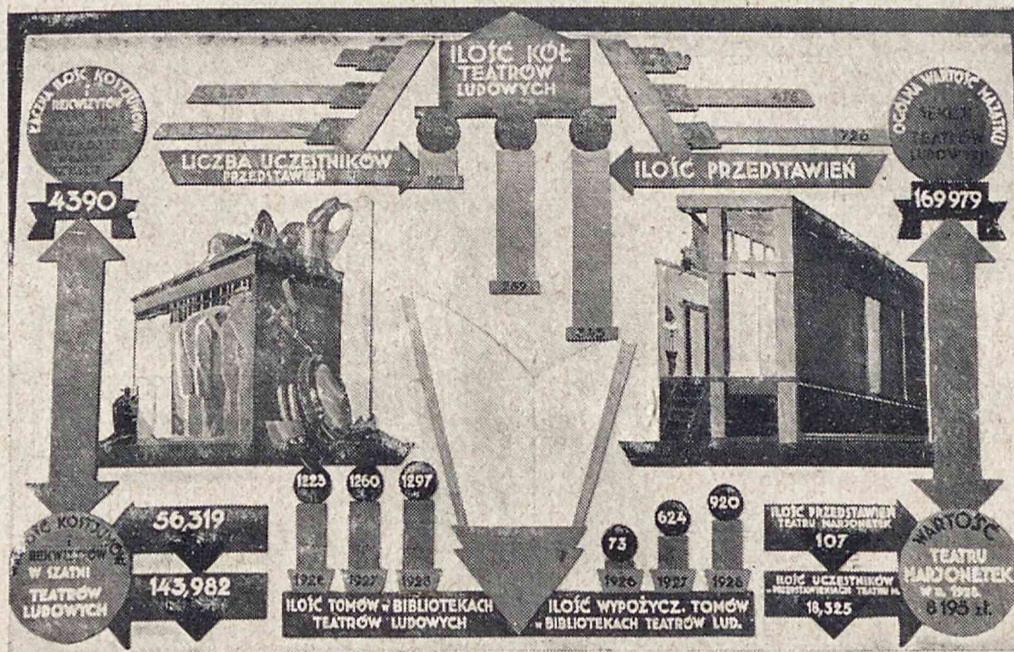


Artystyczny model, obrazujący działalność Wojew. Zakł. Wych. w Szubinie
Fot. J. Puciński

styczne, czuwała nad wygotowaniem grafikonów, druga — rysownicy - technicy według projektów prof. Rudego opracowywali grafikony, mapy poglądowe a następnie wykonywali je w drzewie i gipsie oraz malowali, celem ich większego uplastycznienia. Trzeba podkreślić, że wszystkie te prace wykonano w przewidywanym terminie, co jest w okresie urządzania wystaw nadzwyczaj rzadkim wypadkiem.

W każdym calu wystawa w pawilonie samorządowym, z punktu widzenia artystycznego, znajduje się na wysokim poziomie. Wielu rzeczy uczy, wiele nieznanych szczegółów ilustruje dydaktycznie. Przekonywując każdego naocznie o wielkim dorobku naszych samorządów, o twórczym rozwoju miast polskich, o tym rozmachu rzetelnej pracy i rzetelnych wysiłów władz samorządowych, daje jednocześnie przegląd malowniczy tego wszystkiego.

Wykonanie wystaw artystycznych w pawilonie samorządowym, pod kierownictwem prof. W. Rudego, znajduje się na poziomie znanych pracowni artystycznych na zachodzie. Jeśli nawet artyzmem opracowania wystawy te nie przewyższają stosowanej plastyki zagranicznej, to w każdym razie jej dorównują. I dlatego strona artystyczna tych wystaw opracowana jest na miarę europejską.



Z działalności teatrów ludowych na Śląsku w plastycznych modelach

---

DROBIAZGI LITERACKIE

REKORDOWA NAGRODA ZA POWIEŚĆ.

Amerykańska powieściopisarka Miss H. Katherine Brown otrzymała za utwór swój pt. „Ojciec" nagrodę im. „John Day'a". Wynosi ona 180.000 złotych. Jest to zapewne najwyższa nagroda literacka za oddzielny utwór. Ameryka i w tem pobiła Stary Kontynent.

„W EPOCE DZIKICH JAZZÓW I TRUJĄCYCH GAZÓW".

Matka bajkopisarza Juljana Ejsmonda, żona malarza Franciszka, córka ś. p. Juljana Wieniawskiego, odziedziczyła po ojcu zamiłowania literackie. Daje im folgę w zbiorze utworów wierszowanych pt. „W epoce dzikich jazzów i trujących gazów". Już z tytułu można się zorjentować, że wiersze te mają charakter satyryczny. Rodzaj tej satyry dobrze określa czterowiersz:

Z kobietą bądź ostrożnym tak, jak
z benzyną,
często bowiem wybuchów bywają
przyczyną.
To też z niebezpieczeństwem tem nie
igraj sobie,
mógłbyś się mocno sparzyć, gdyż
„za-lotne" obie.

Zbiór tych wierszy poprzedził wstępem Zdzisław Dębicki. Dla „wpływologów" książka ta będzie skarbem. Posługiwać się nią będą do odkrycia filjacji literackich między autorką a jej ojcem i ewentualnie synem. Mamy przecież wyraźną wskazówkę dziedziczności literackich upodobań.

WYSTĘP T. SZALAPINA W WARSZAWIE



Teodor Szalapin, znakomity bas rosyjski, śpiewać będzie na recitalu w Filharmonji Warszawskiej. Program składać się będzie z arji operowych i pieśni

SOUTH BEND, *Ind. USA.* (Kwiecień). W ciągu stycznia roku bieżącego sprzedaż samochodów Studebakera przekroczyła cyfrę największych sprzedaży styczniowych w historji firmy, jak komunikuje p. J. M. Cleary, szef sprzedaży The Studebaker Corporation of America. Fabryka Studebakera przeniosła więcej niż 2.000 niewykonanych zamówień na luty.

Zwiększenie sprzedaży samochodów Studebakera w bieżącym roku było zapowiedziane już w początku stycznia przez wielu znawców rynku samochodowego, bezpośrednio po zademonstrowaniu nowych modeli: ośmiocylindrowego Commandera i ulepszonych modeli ośmiocylindrowego Presidenta, na wyspie samochodowej w Nowym Yorku.

KRAM „POD RAKIEM"

Fot. Marjan Fuks



KRAM „POD RAKIEM", STARE MIASTO 4/6



WNĘTRZE SKLEPU WYKONANE PRZEZ ART. MAL. PP. STRYJEŃSKĄ, BOROWSKIEGO I RZECKIEGO

Wprawdzie już polichromja pokryła większość kamieniczek staromiejskich, a na rynku starej Warszawy oddawna goszczą kulturalni gospodarze u Fukiera, w kamienicy X. X. Mazowieckich, u Baryczków, a piewca starej Warszawy, Or-Ot, tu właśnie rozśpiewał się — to, mimo wszystko, brak było czegoś temu uroczemu zakątkowi lat minionych. Może nie brak, lecz pewne niedopełnienia, jakie przy wszystkich staraniach o dzielnicę staromiejską Warszawy, ściślej mówiąc o sam Rynek Staromiejski — dało się wyczuwać. Pewien niemiły kontrast: z jednej strony polichromja, z drugiej... tandetne sklepiki „nowoczesne", brudne, cuchnące, odrażające swym wyglądem i kpiące ze wszystkich trosk o estetykę Rynku Staromiejskiego.

Gdzieindziej środek miasta starego jest jakby cennym „wychuchanym" relikwiarzem, jest szanownym, cudownym starym sprzętem, do którego przystępuje się z pietyzmem. Powiedzmy językiem prozaicznym: jest terenem, na którego powierzchni nie tolerowałoby się tak długo, jak u nas,— ochydnych jakichś znaków firmowych, przedstawiających śledzie, wyłażące z beczki, czy głowy „przedwojennego" cukru... Gdzieindziej, powtarzamy, z takiego cacka, jak nasze Stare Miasto, stworzonoby zakątek, dokąd kierowałby pierwsze kroki każdy turysta, pewny, że nietylko ujrzy tam coś godnego— ale, że i coś pięknego, no drobiazg jakiś estetyczny stamtąd wyniesie.

U nas, niestety, na taką „koncepcję" nie zdobył się nikt, ani z czynników rządowych, czy magistrackich, ani nikt inny... Zdobyła się gorąca wielbicielka starej Warszawy, kobieta o wysokiej, wyrafinowanej kulturze artystycznej, p. Edwardowa hr. Raczyńska.

Wpadła na szczęśliwy i pożyteczny pomysł: na rynku Starego Miasta pod nr. 4/6 w artystycznie urządzonym sklepie, według pomysłu artystów malarzy pp. Stryjeńskiej, Borowskiego i Rzeckiego otworzono kram „Pod Rakiem", gdzie zgromadziła moc cennych drobiażczków artystycznych wszelkiego rodzaju, które turysta, czy miłośnik starej Warszawy, zwiedzając Rynek, będzie mógł unieść ze sobą, jako trwałą pamiątkę z tego czarownego miejsca stolicy. Nie jakieś ohydne świecidełka, czy wogóle „pamiątkową" tandetę galanteryjną — lecz drobiazg większy lub mniejszy — wykonany przez artystę ze smakiem i stylem, jakiego piętno ma na sobie Rynek, a z nim cała stara dzielnica.

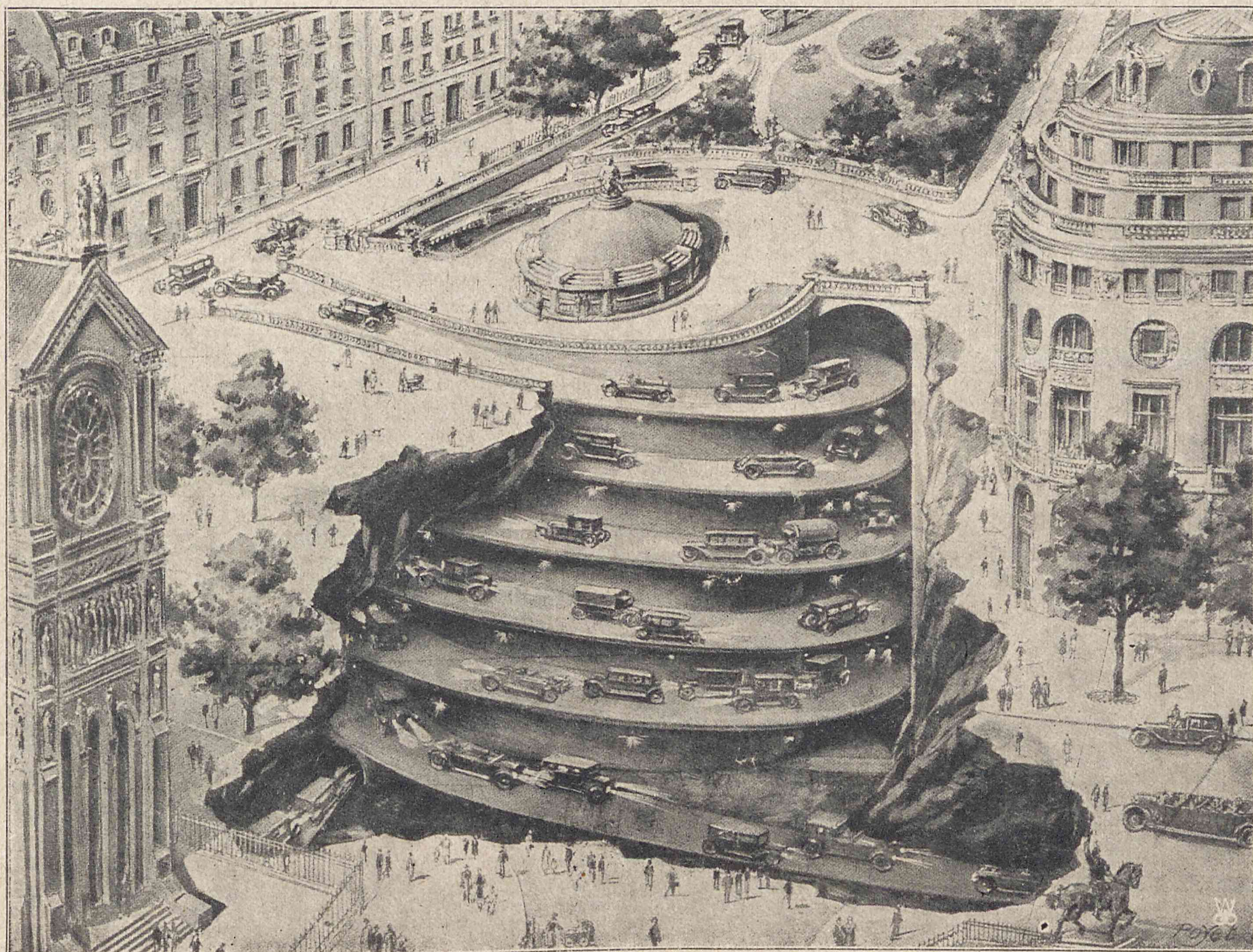
Kram „Pod Rakiem" trzeba powitać z jaknajwiększem uznaniem jeszcze z innych względów: Warszawa, jako cel wędrówek turystów, czy wycieczkowiczów była tak zaniedbana, że nie czuła potrzeby czegoś, cobyśmy nazwali „przemysłem wyrobów pamiątkowych". Miejmy nadzieję, że w związku z Powszechną Wystawą Krajową liczne rzesze wycieczkowiczów, w przejeździe przez Warszawę, podążą na Stare Miasto. Stąd unieść zechcą jakąś pamiątkę i oto wtedy skierują swe kroki do kramu „Pod Rakiem", by nabyć coś pamiatkowego z pobytu w stolicy odrodzonej Polski.

W ten sposób kram „Pod Rakiem", wsparty o rzesze turystów i wycieczkowiczów, da doskonałe pole do pracy naszym siłom artystycznym na polu sztuki stosowanej, pozwoli na prawdziwy grunt sprowadzić i we właściwą formę ująć to, cobyśmy nazwali „pamiątkami z Warszawy", co jest ważnym szczegółem, kiedy się mówi o sprawach naszej turystyki i krajoznawstwa.

Jak zaś informuje nas inicjatorka tej imprezy, p. Edwardowa hr. Raczyńska, to celem naczelnym tego przedsięwzięcia jest właśnie troska o możność pracy dla szerokich sfer naszych artystów i troska o racjonalny jej zbyt.

W-cki

ŚWIAT SAMOCHODOWY



Płaszczyzny spiralne tworzące zjazd i wyjazd z garażu, projektowanego przez paryską Radę Municypalną

Olbrzymi garaż podziemny w Paryżu

Już od dłuższego czasu paryska Rada municypalna usiłuje rozwiązać ważne zagadnienie cyrkulacji, a na jednem z najbliższych posiedzeń rozpatrywać będzie interesujący projekt z tej dziedziny, przedstawiony przez architekta L. Plousey'a. Chodzi mianowicie o wybudowanie ogromnego dwupiętrowego podziemnego garażu samochodowego pod placem św. Augustyna, do którego będzie można z biegiem czasu doprowadzić podziemne ulice o jednokierunkowym ruchu. Albowiem budowa garażu ma zapoczątkować realizację całego dużego planu, obejmującego dziesięć garaży tego rodzaju na głównych placach Paryża, oraz kilku wielkich arterji podziemnych, łączących je z sobą.

Wjazd i wyjazd z garażu znajdować się będą na zachodnim krańcu ulicy Laborde. Autor projektu stwarza dwie spiralne pochyłe płaszczyzny o szerokości 5 metrów i 7-dmio procentowym spadku, dokładnie równoległe na wzór słynnych schodów Chambord i Blois, z których jedne są przeznaczone do chodzenia na dół, a drugie do góry w myśl zasady jednokierunkowej.

Na powierzchni ziemi wznosi się rotunda, służąca do przykrycia tego ogromnego walca, stworzonego przez spirale, zagłębiające się w ziemię na wzór dwóch włożonych w siebie korkociągów, które nie stykają się z sobą nigdzie. Na wysokości pierwszego piętra pod ziemią znajdują się magazyny przyborów samochodowych, toalety, telefony, oraz windy, przewożące pasażerów i szoferów z garażu, gdzie pozostawili swe auta, z powrotem na powierzchnię ziemi. Płaszczyzna zjazdowa ma wyjście na ulicy Labord, dokąd przybywają prawie wszystkie wozy z placów św. Łazarza i św. Augustyna; płaszczyzna wyjazdowa prowadzi na szeroką aleję Portalis. Głębokość całej podziemnej budowli sięga do dwunastu metrów.

W garażu auto wjeżdża do pierwszej wolnej przegrody, umieszczonej na przekątnej, łatwo dostępnej, o rozmiarach 6 mtr. długości i 2 mtr. szerokości. Jeżeli postój samochodu ma być dłuższy, szofer powraca windą na ulicę. Jeżeli wóz wymaga oczyszczenia, drobnej naprawy, zmiany gumy lub tp., można to uczynić na miejscu. W chwili odjazdu szofer wprowadza auto na jednokierunkową spiralę wyjazdową.

W podziemiach przedsięwzięto wszystkie środki, by zabezpieczyć urządzenia przed pożarem, a jednocześnie by zapewnić przebywającym wewnątrz ludziom świeże powietrze do oddychania, inaczej bowiem musieliby się tu podusić. Usuwanie gazów benzynowych oraz zużytego powietrza odbywa się przy pomocy podwójnego systemu wentylacyjnego. Świeże powietrze, czerpane z ponad budynków Paryża, wpompowuje się przez górną część sklepienia garażu. W razie pożaru automatyczne sygnały alarmowe, połączone pomysłowo z urządzeniami telefonicznemi i samoczynnemi gaśnicami, zapewniają najszybszy ratunek i maksimum zabezpieczenia.

Urządzenia kanalizacyjne, wodne, zbiorniki oliwy i benzyny, zaopatrzone w pompy wytłaczające, oświetlenie elektryczne, normalne i zapasowe, instalacje alarmowe oraz sieć telefoniczna były przedmiotem długich szczegółowych studjów, w których uczestniczyli najlepsi technicy. Korytarz 40-metrowej długości i 2-metrowej szerokości biegnie wzdłuż pierwszego piętra, łącząc najkrótszą drogą dwa krańce podziemia.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach projekt tego pierwszego podziemnego garażu, który ma przeciwdziałać nadmiernemu skupianiu się samochodów w tym ruchliwym punkcie Paryża. Jest to pierwsza instalacja tego rodzaju, więc dopiero przyszłość okaże, czy nie zawiedzie pokładanych w niej nadziei. Dwa planowane piętra będą mogły pomieścić około 600 wozów. Wystarczy to do odprężenia ciasnoty ulicznej przy krótkich postojach, jeżeli jednak wozy zatrzymywałyby się dłużej w garażu, rozszerzenie instalacji będzie konieczne.

Rozwiązanie problemu jest pomysłowe i mało skombinowane; nieporównanie prostsze od budowanych obecnie w Ameryce wielopiętrowych garaży, w których samochody trzeba windami przesuwać na górne piętra.

St. I.

OD ADMINISTRACJI

UPRASZAMY SZ. NASZYCH PRENUMERATORÓW O ŁASKAWE WPŁACENIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY. PRZYPOMINAMY, ŻE CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA CZERWIEC R. B.

Służba Ojczyźnie

Wspomnienia uczestniczek walk o niepodległość naszego narodu tylko w części obejmują ogrom trudu i poświęcenia kobiet polskich. Martwe litery segregują fakty napozór drobne, zwykłe; a przecież za te drobiazgi rozstrzeliwano, więziono, wywożono do obozów koncentracyjnych niemieckich i austrjackich. Nie było żadnego sprawdzianu bezpieczeństwa w tych czasach. Kto dotknął się tylko do roboty niepodległościowej, mógł oczekiwać rzeczy najgorszych. Ślepy traf rządził wypadkami: niebezpieczeństwo omijało jednak ludzi potrzebnych dla sprawy. Wielu padło; bez ofiar nie można prowadzić walki. Naogół jednak szczęśliwy traf pozwolił im wychodzić z ciężkich terminów bezpiecznie.

Potomność dowie się o ich czynach z tych wspomnień lakonicznych, rejestrowanych sucho, rzeczowo. Z wielkiem wzruszeniem odczyta je, z nabożeństwem wmyśli się w splot faktów. Czyny M. Rychterówny, J. Benedekówny, Jadwigi Marcinowskiej, Walerji Golińskiej, Marji Przyjemskiej, Stefanji Sławińskiej, Al. Piłsudskiej, W. Wyszyńskiej należą już do historji. Bohaterskie te niewiasty dziś stoją przy swoich nieefektownych warsztatach pracy usunięte w cień; inne znalazły grób w ziemi, którą ukochały. Czy zrealizowały się ich sny o Polsce wolnej w zupełności, bez reszty? Hasłem ich był przecież „wolny człowiek w wolnej Polsce", jak wzruszająco to pisze Janina Benedekówna, bohaterka wielu wystąpień czynnych P. O. W.

Kartki z pamiętnika p. Zofji Wańkowiczowej, żony Melchjora, wywołują żywą i przyjemną sensację: Jakto, pani Zofja, teraz cicha, miła, piękna mama dwóch rozkosznych córek, na gruncie mińskim młoda mężateczka prowadziła niebezpieczną, gardłową peowiacką robotę?! A jak obrazowo, po-literacku opowiada swoje przeżycia! Te kilka stronic o związku broni odsłaniają znów jedną z pięknych dusz kresowych, wychowanej w starej kulturze dworu polskiego. Wartoby ogłosić ten pamiętnik p. Zofji Wańkowiczowej w całości. Promieniuje z niego psychika jasna, wiara niezachwiana w święte prawo wolności i niepodległości.

„Służba ojczyźnie" powinna stać się książką żywo komentowaną w naszych szkołach. Oddziałać winna wychowawczo: daje materjał świeży, a godny podziwu i przykładu.

Migawki Warszawskie

SALON DAMSKI

Salon damski, to wyższa instancja. Mistrze od „andulacji" zgóry traktują pracowników salonu męskiego. A nawet i swoich dawnych klijentów. Doświadczyłem tego na własnej skórze tym razem dosłownie. Skrobał bowiem brzytwą tę moją własną skórę nader sympatyczny i przystojny blondyn z bardzo dobrym rezultatem przez kilka lat. Przychodził co drugi dzień i w ciągu pięciu minut dojrzałego człowieka przeistaczał w młodzieńca. Nagle wszystko się urwało. Zniknął. Kiedy w kilka dni zagadnąłem go o przyczynę tej rejterady, odrzekł mi z dumą:

— Pan daruje, ale ja teraz pracuję na *damskim* salonie.

— A to co innego — odrzekłem — Place aux femmes!

Obecnie pastwi się nad moją brodą niebieskooki pan Stefan. I o ile damy go nie zabiorą, mam nadzieję, że będziemy w długotrwałej przyjaźni. Ale któż wie, co się stać może! Ce que veut la femme, veut Dieu! Wtedy kupię sobie chyba z rozpaczy giletkę.

Wejdźmy na chwilę do salonu damskiego.

Właśnie mistrz Józef poprosił jedną z pań do sanctuarjum, gdzie odbywa się dekoloryzacja włosów, rozjaśnianie, przyciemnianie, masaż twarzy, ondulacja i mnóstwo innych zabiegów, dzięki którym nawet najstarsze panie są wiecznie młode, a najbrzydsze — olśniewają blaskiem piękności.

Ta szczęśliwa dama, która opuszcza grono czekających kolei, staje się automatycznie przedmiotem dalszej rozmowy.

Rozmowa zaczyna się zawsze dolce expressivo, potem przechodzi w alegro giocoso, a kończy się furioso molto agitato.

Posłuchajmy:

— Jakaż to miła osoba!

— Nadzwyczajnie.

— Co za ułożenie!

— Jaki wdzięk!

— Z bardzo dobrej rodziny. Mieli kiedyś duży majątek.

— Tylko dlaczego taka czarująca osóbka nie zrujnowała się jeszcze na dobrego dentystę!

— Ma pani rację! Wszystko sobie psuje tym źle dopasowanym garniturem.

— To jest wprost niezrozumiałe! Żona bardzo bogatego przemysłowca...

— E, co pani mówi? On już dawno nic nie ma.

— Jakto? Mieszkają w jedenastu pokojach.

— Tak, dzięki ochronie lokatorów.

— Przyjechała własnym automobilem.

— Więc co? Czy to mąż musiał kupić ten automobil? A może przyjaciel?

— No tak, to prawda...

Rozmowa się urwała, bo właśnie drugi mistrz, pan Stanisław, wskazał na opróżnione miejsce.

Dama oskarżająca opuściła towarzystwo. Pozostałe hołdowniczki i ofiary mody starały się znowu nawiązać między sobą bliższy kontakt.

— Ona będzie mówić o wprawianych zębach!

— Rzeczywiście, trzeba mieć tupet. Kto jak kto, ale osoba, która już nic swojego nie ma...

— Oprócz tej szopy na głowie...

— Proszę pani, to peruka!

— A mówiła, że chce włosy utlenić!

— Żeby nam oczy zamydlić! Może sobie pani sprowadzić z Paryża jeszcze śliczniejsze!

— Poco z Paryża — wtrącił się do rozmowy pan Józef, nie przerywając swej pracy. — Weźmie się miareczkę, zrobi się loczki i będzie szanowna pani wyglądała, jak ten aniołek na choince.

Do salonu weszła dama nieokreślonego wieku z dużym kokiem, w kapelusiku na czubku głowy i, o zgrozo! w długiej sukni.

— Przepraszam, panie szanowny. Jaby chciała się uczesać.

— Na którą godzinę szanowna pani zamówiona?

— Zamówiona? Taż ja wcale nie zamówiona. Przyszłam i jestem.

Lekki szmer tłumionego śmiechu przeszedł przez salon.

— A to, proszę pani dobrodziejki, nic z tego nie będzie.

— Fe! Nie mów pan takich rzeczy. Ot przeciwny człowiek z pana. Dlaczego ma nie być? Przecie tu fryzjernia.

— Tak, proszę pani — objaśnił mistrz Józef, nie przestając ondulować swojej klijentki. Lecz każda z pań ma swoją godzinę.

— Ja się stąd nie ruszę. Muszę być uczesana. Toż ja przyjechała na ślub Tereni.

Widocznie Terenia jest wyrazem bardzo komicznym, bo wszystkie czekające panie wybuchnęły śmiechem.

— A, jeżeli koniecznie, to mam wolną godzinę dziś o drugiej w nocy — rzekł poważnie pan Józef. Albo jutro rano pofatyguje się pani do mnie przed szóstą.

— Ot i wymyślił pan porę. Gdzież mnie przychodzić przed szóstą.

— Nic nie poradzimy. Jeżeli szanowna pani się nie zdecyduje, to za kwadrans i te godziny będą zajęte.

— W tej Warszawie przyjdzie się z kurami wstawać, jeżeli chcesz być uczesana. A może w godzinie obiadowej?

— Ja nie jem obiadu.

— Tylko co?

— Tylko onduluję.

— Tak może podczas podwieczorku?

— Podczas podwieczorku także onduluję. Do późnej nocy onduluję. Od wczesnego ranka onduluję. Ciągle onduluję. Trudno, proszę pani. Pięknych główek w Warszawie jest tysiące, a dobrych fryzjerów kilku.

— Ładny kwiat. No to już przyjdę do pana o czwartej rano. Tylko żeby się o tem u nas na wsi nie dowiedzieli!

Wincenty Rapacki

TO I TAMTO

Na wystawie sztuki:

— Ile kosztuje ten obraz?

— Dwa tysiące złotych.

— Phi, phi, phi... Tak mi pan zacenił, jakby malarz już od dwustu lat leżał w grobie...

*

W redakcji. Poeta:

— Czy zastałem pana redaktora?

— W tej chwili jest nieobecny...

— Czy nie mógłbym prosić wobec tego, żebym mógł sam wrzucić mój wiersz do redakcyjnego kosza...

DROBIAZGI LITERACKIE

Współdziałanie intellektualne na terenie międzynarodowym.

Wypadki opolskie wystawiają kiepskie świadectwo niemieckim kierownikom opinji. Tyle pisze się i mówi w Niemczech o kulturze, a przy każdej sposobności zdradzają oni, jako masa, instynkty nieokiełznane. Pisarze, artyści, uczeni niemieccy spotykali się zawsze u nas z gościnnem przyjęciem. Wizyta opery katowickiej w Opolu wywołała krwawą awanturę. I to wtedy, gdy na naszem terytorjum teatry niemieckie funkcjonują bez przeszkód...

I jak tu mówić o współdziałaniu intelektualnem? A jednak trzeba mimo te ekscesy prowadzić do wyrównania różnic między narodami. Współdziałanie intelektualne jest niezbędnym czynnikiem, broniącym cywilizację od barbarzyństwa. Z przyjemnością też bierzemy do ręki miesięcznik francuski pt. „La Cooperation intellectuelle". Z głosów tego pisma możemy stwierdzić, że istnieje w Europie spory zastęp ludzi nieoślepionych szowinizmem, nienawiścią, a szukających dróg do porozumienia i złagodzenia antagonizmów. P. Juljan Luchaire, dyrektor międzynarodowego instytutu współpracy intelektualnej, w kwestji tej wypowiada kilka słusznych uwag w artykule pt. „Świat, jako konstrukcja umysłowa". Sądząc z jego słów, należałoby się spodziewać, iż czynniki rozsądne winny wziąć przewagę w życiu społeczeństw. Świat opanowany jest przez siły intelektualne. Interesującą jest też ankieta pt. „Opinja co do przekładów". Liga Narodów opracowuje obecnie kwestję przekładów i cyrkulacji książki. Ankieta ta jest więc materjałem orjentacyjnym. Wzięli w niej udział tacy pisarze, jak E. Diez - Canedo, S. Elisejew, M. Clifton - Fadiman, M. F. Garcia - Calderon, A. Gide, M. Lengyel, C. Linati, M. Rychter, M. O. Storch - Marien, M. A. Waley, Z. L. Zaleski oraz Stefan Zweig.

Ankieta ta zajmuje się sprawą przekładu tak pod względem treści, formy, jak i wartości ekonomicznej. Niemcy tłomaczą na swój język bardzo wiele, francuzi tylko rzeczy o określonej wartości, amerykanie chwytają każdą książkę, zapowiadającą „business". O stosunkach polskich informuje p. Zaleski, wygłaszając opinję co do sztuki przekładu i zgłaszając różne dezyderaty natury intelektualnej. Od siebie możemy dodać, że mamy nadmiar książek tłomaczonych. Należałoby może wszcząć walkę z makulaturą, zalewającą dziś nasz rynek księgarski. Gościnność nasza jest w tym względzie zgoła niezrozumiała, bo szkodliwa dla poziomu naszej kultury.

Było nam jednak przyjemnie, że w tej ankiecie zabrał głos i pisarz polski, choć zdala stojący od rynku księgarskiego; za to wystawił on świadectwo pietyzmowi kilku naszych tłomaczy, którzy, istotnie, przyczynili się do popularyzacji trwałych wartości literackich piśmiennictw cudzoziemskich.

Polacy w akcji współdziałania intelektualnego na terenie międzynarodowym zajmą miejsce godne naszej starej kultury.

F

Z KALOTECHNIKI

Major K. Można zachować w pełnym owłosieniu do późnej starości i uchronić od siwizny. Ang. płyn „Bisare" usunie łupież i wypadanie włosów.

Stefanji R. Jedynie fr. płyn „Petunja" usunie piegi radykalnie.

Zofji T. Włosy z warg i brody usuwa w zakładzie doktór specjalista.

Pani P. „Perełki alkaliczne" usuną wągry i gęsią skórkę.

Pani G. S. Najtrwalej jest najpierw rozjaśnić włosy płynem Eau d'Or, a później przyciemnić płynem „Pigmin".

Wandzie Z. Niech pani przyśle włosy do analizy do „Kalotechniki", Marszałkowska 116.

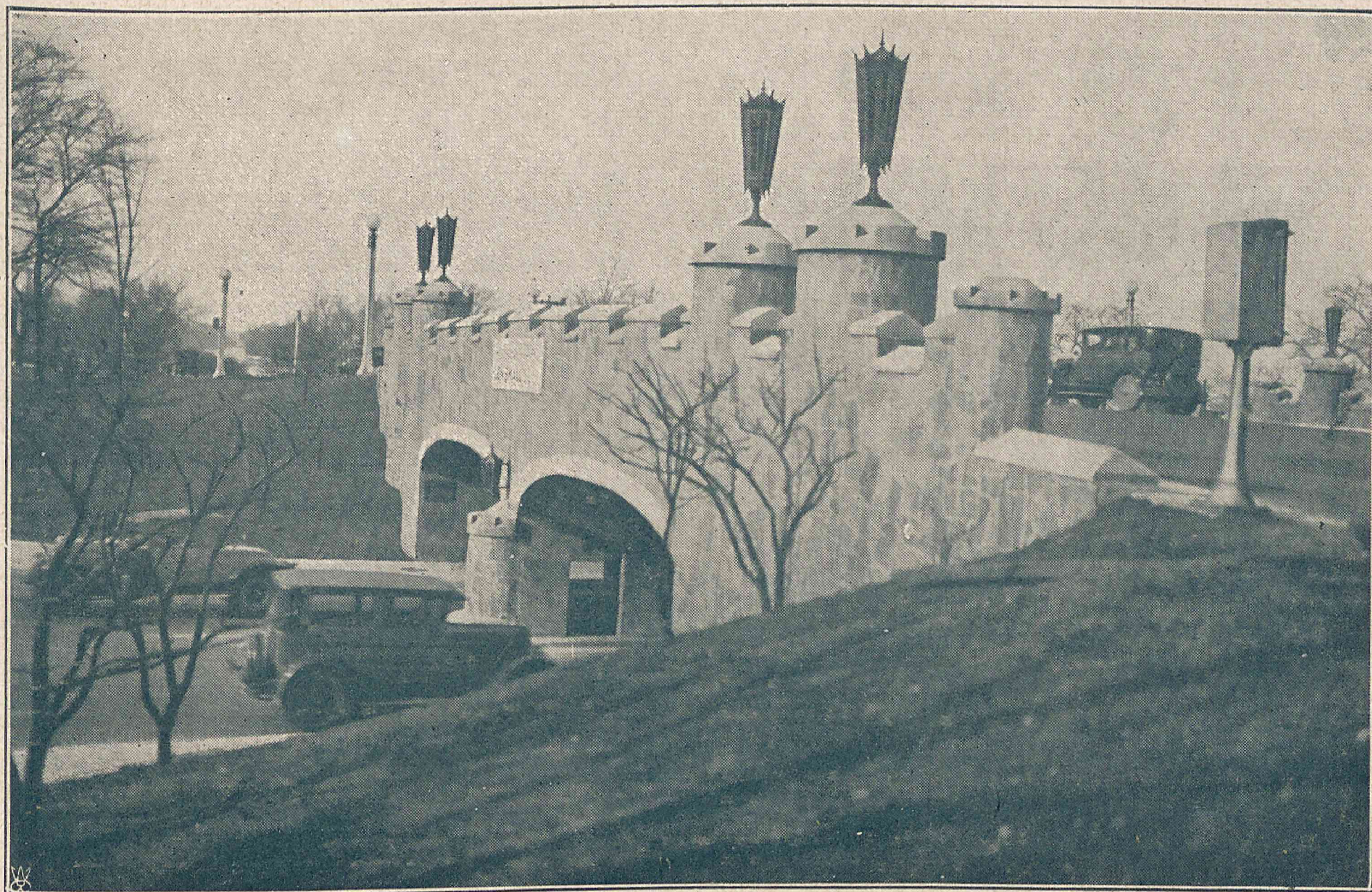
Dr. Z. K.

— CHCESZ POZNAĆ WARTOŚĆ REKLAMY, SPROBUJ SPRZEDAWAĆ SWOJE WYROBY BEZ REKLAMY...

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski*

Druk Galewski i Dau, Warszawa

JAK CHICAGO ROZWIĄZUJE DOTYCHCZAS RUCH ULICZNY



Most dla pieszych: ruch kołowy odbywa się pod mostem Fot. The New-York Times

NOTATKI LITERACKIE

CZYTELNICTWO I KSIĘGARSTWO POLSKIE W ŚWIETLE STATYSTYKI

Wiemy, iż czytelnictwo nasze po wojnie zmalało. Dziesięciolecie niepodległości nie przyczyniło się do odbudowania zainteresowań czytelniczych choćby na miarę przedwojenną. Co jest przyczyną? Na pytanie to stara się odpowiedzieć znany księgarz p. St. Arct. Stwierdza on ze statystyką w ręku, że w Polsce na 30-miljonów ludności zaledwie miljon ludzi może kupować książki, bo posiada 75 zł. rocznie ponad potrzeby swego budżetu życiowego! W Stanach Zjednoczonych obywatel nadwyżki takiej ma 1905 zł., w Anglji 1433 zł., we Francji 506 zł.!

Najwięcej jednak druków wyprodukowały w ubiegłym roku Niemcy: 31 tysięcy! (Francja 11.992, Stany Zjednoczone 10.153). Liczby te nabierają znaczenia, gdy się je rozdzieli, jako produkcję na osobę „potencjalnego" nabywcy. W takim obrachunku wypada: w Stanach Zjednoczonych — 0,33 książki, w Niemczech — 2,5, w Czechach — 1,2, we Włoszech 0,9, w Anglji — 0,7, we Francji — 0,9, w Polsce 6.

Trzeba dodać, że przeciętny nakład książki w Stanach Zjednoczonych wynosi *44.000*, podczas, gdy w Polsce *3.300*, z czego w wielu wypadkach połowa idzie na makulaturę. *Nic w tem niema dziwnego, skoro pod względem produkcji stoimy na pierwszem miejscu*, a pod względem możności konsumcji na ostatniem. Hyperprodukcja ilościowa książki w Polsce jest oczywista. *Pojemność* rynku i potrzeby pozwalają na wydanie maksymalnie *2.760 druków*. Na głowę potencjalnego nabywcy wypada 6 książek, powinno przypadać 2; nakład przeciętny natomiast, wynoszący obecnie 3.300 egzemplarzy, mógłby się wtedy podnieść do *10.000*.

Czy wobec tych zestawień statystyki zdziwić może, że w okresie od 1926 do 1928 roku zlikwidowano u nas 54 księgarnie, w tem 9 w Warszawie?! Jest to dosyć ponury obraz naszych stosunków księgarsko - czytelniczych. Jaśniejszą jest tylko nadzieja: p. St. Arct uważa, iż z biegiem czasu domniemany miljon czytelników i nabywców wzrośnie w Polsce do 4 miljonów.

W JESZYBOCIE WĘGIERSKIM.

Warszawa posiada najliczniejsze ghetto żydowskie w Europie. Co wiemy o życiu żydów? Ich świat zamknięty jest dla nas na siedem pieczęci. Ludy o mniejszym żydowskim żywiole tembardziej niewiele wiedzą o psychologji i wogóle rzeczywistości ghetta. Może tylko na Węgrzech masa żydowska była równie ekskluzywna, co u nas. Świat żydowski, choć znajduje się wśród nas, jest egzotyką ciekawą, i przez to beletrystycznie zawsze ponętną. Pisarze polscy naogół idealizowali żydów. Ale nawet i ci, którzy z nich szydzili — dalecy byli od psychologji, obyczajowości ghetta. Dopiero powieści S. Asza, Opatoszu, Szolem Alejchema odsłoniły nam rzeczywistość ciemnych zaułków małomiejskich, zamieszkałych przez żydów.

Francuzi otrzymali trochę tej „wschodnio - żydowskiej" egzotyki w powieści braci Hieronima i Jana Tharaud pt. „Róża Saronu". Życie ghetta słowacko - węgierskiego zostało w powieści tej pokazane przez swojego rodzaju biografję młodego „bochora" — ucznia jeszybotu, szkoły talmudycznej Jakuba Lipszyca. Naukę swoją kończy on, jako sprzedawca szelek, łańcuszków, lusterek w Paryżu. Już na Węgrzech zdjął z siebie chałat i przybrał się w zielony kostjum, prezent od Lei Braunstein, swojej chlebodawczyni. Z powieści tej dowiadujemy się kilku uogólnień, charakterystycznych dla psychiki żydowskiej:

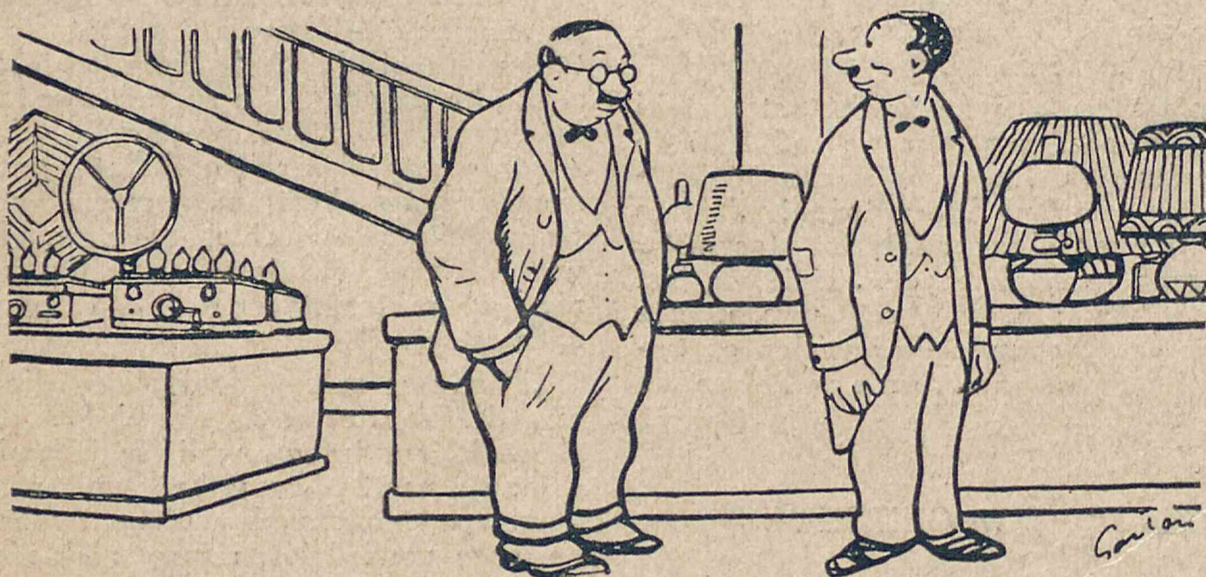
„Kiedy w całem chrześcijaństwie było w głębi klasztorów zaledwie kilku mnichów, którzy interesowali się ideami, widziano u nas Żydów, w każdym z naszych domów wzgardzonych, mnicha, duchownego, chcę powiedzieć, rabina, niekiedy nawet dwóch i trzech, którzy z Talmudem na kolanach śledzili za myślą starą i w absurdalnym stosie ksiąg szukali reguł życia".

Bracia Tharaud piszą też:

„Co za niedorzeczność myśleć, że naród Izraela jest tylko narodem ludzi praktycznych. To jest naród najbardziej chimeryczny, jaki widziano we wszechświecie".

Te dwie cytaty określają nam gatunek literacki utworu braci Tharaud. We Francji książka ta była bardzo czytana. U nas napewno będzie też szeroko czytana: w pierwszym rzędzie wezmą ją do ręki żydzi. Powieść ta pokazuje jeszybot węgierski nie bez sentymentu.

HUMOR ZAGRANICZNY



— Pański żakiet jest cokolwiek staromodny...
— Sprawiłem go, panie pryncypale, w dniu, kiedy otrzymałem ostatni raz podwyżkę pensji. *(Le Rire).*

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00 i 501-51
Konto czekowe P. K. O. 3755
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak.-Przedmieście 13. (Hotel Europ.)

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłosz. „PROMIEŃ" Piotrkowska 81, Księgarnia „Czytaj" Narutowicza 2, we LWOWIE: Oddział Tow. „RUCH"
CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5 — zł., z odnoszeniem do domu 6.— zł., na prowincji miesięcznie 6.60 zł., kwartalnie 19.80 zł
Zagranicą miesięcznie 8.60 zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA